Numer 25. Należ. poczt. opł. gotówką. Dnia 18 Czerwca 1933



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Także powód.

Gospodarz: Nie mogę sprzątać zboża, bo deszcz pada.

Przyjaciel: Pociesz się, barometr idzie do góry.

Gospodarz: Barometr idzie do góry, ale deszcz idzie na dół.

Dobre przyrównanie.

Podżyły już kawaler do młodej panny:

— Gdybyś, droga pani, została moją żoną, tobym cię na rękach przez całe życie nosił!

— To pan taki silny?

— Tak, pani, mam siłę czterech koni.

— Nigdybym nie przypuszczała. Na jednego, coprawda, to pan wygląda...

W sądzie.

W pewnej wsi był spór o granicę. Sąd wezwał wójta, aby wybadał najstarszych ludzi we wsi, co o tej granicy pamiętają.

Wójt odpisał sądowi:

„Na wezwanie Prześwietnego sądu odpisuję, że temu zadość uczynić nie mogę, bo najstarsi ludzie we wsi już nie żyją.

Troskliwa wdowa.

— Wykopcie tylko grób dla mego męża daleko od grobu stolarza Wiórki!

— A to dlaczego?

— Bo on umarł na tyfus.

Pijak a wielbłąd.

Pomiędzy pijakiem a wielbłądem wielka jest różnica. Wielbłąd może przez dwa tygodnie pracować a być się tak długo bez picia. Pijak zaś może przez dwa tygodnie pić, a wcale nie pracować.

Dzieci.

— Zobacz, Helciu, czy jeszcze jest nafta w lampie.

— Niewiele. Dla mnie samejby może jeszcze wystarczyła, — ale dla was dwóch, wątpię

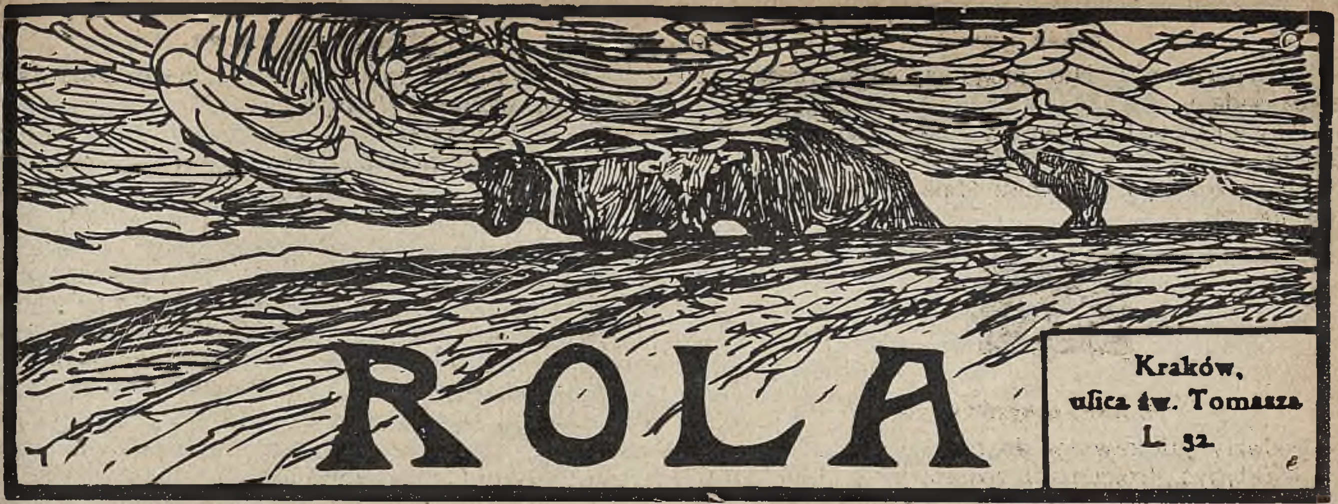
Powód.

— Proszę olejku rycynowego za trzy grosze, ale mało — mówi chłopak.

— Dlaczego mało?

— Bo ja go muszę sam wypić!

Numer 25. Rok XVI. Kraków, dnia 18 czerwca 1933.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1933: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: Kraków, ulica św. Tomasza 32.

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868

Boże Ciało.

Jak długa i szeroka ukochana ziemia polska rozbrzmiewa w dniu i oktawie Bożego Ciała pieśń wzniosła, uroczysta, pełna pokory i oddania się Bogu. Chylą się głowy ludzkie przed Najświętszym Sakramentem, jako te łany zielone pod żywszym wiatru podmuchem. Bo i z serc ludzkich idzie ten podmuch święty, gorący: „Tobie dziś dajem z wojskiem tych ludzi pokłon i pienie my Twoi słudzy!“

Pieśń wyrywa się ze setek i tysięcy piersi i idzie pod to niebo lazurowe, a słoneczko Boże świeci, a świeci, czasem przypiecze nawet goręcej, tak na większą chwałę Bożą i ku rozradowaniu serc ludzkich.

I rozchylają się kwiaty radośnie, a drzewa cudnie zielone chwieją ogromnemi konarami, zaś listki świąteczną szatą zwróciły się ku niebu.

Na większą chwałę Bożą...

W świątyniach brzmi prastara pieśń, bije pod strop kościoła, aż się ściany trzęsą z wielkiego huku, a serca w piersiach ludzkich od wielkiego nabożeństwa.

„W tej Hostji jest Bóg żywy, choć zakryty, lecz prawdziwy... W tym Najświętszym Sakramencie z nieba stawa w tym momencie!“

I leci pieśń święta z serc ludzkich, a głowy ludzkie tarzają się w prochu, a serca kochają, a ludzie wierzą mocno, a gotowi na wszystko. Niechby tak trzeba było na męki, jak w „Żywotach Świętych“ czytali, nic to, choćby zaraz.

I idzie Pan Jezus przez miasta, wsie, pola, a ludzie śpiewają, a śpiewają...

Naraz cisza, jak makiem siał, wszyscy rzucają się na kolana, głowy chylą się ku ziemi. Siwy, jak gołąb, kapłan podnosi monstrancję, w której znajduje się w tej chwili sam Jezus Chrystus, i błogosławi ludziom, i niwom, i lasom, i wszystkiemu stworzeniu.

Tu cisza, ale tam w górze, oj wyśpiewują też ptaszki, a świergocą, nareszcie dorwały się głosu, aby i one przyłączyć się do tych hołdów uwielbienia, jakie w dni te składa człowiek swojemu Stwórcy.

Przed kapłanem postępuje w bieli szereg niewinnych dziewcząteк, które kwiatami uścielają drogę, jaką podąża kapłan, dzierżący w swej dłoni Najwyższe Dobro całego świata.

Uroczysta procesja zdąża od ołtarza do ołtarza w liczbie czterech, przy których kapłan odczytuje Ewangelję. Wszystko dzieje się publicznie, na oczach nietylko wyznawców wiary Chrystusowej, ale i innowierców, i niedowiarków, aby i wobec nich oddać hołd Temu, który cierpiał i śmierć krzyżową poniósł dla wszystkich ludzi bez względu na ich stanowisko społeczne, narodowość lub wyznanie.

W dzień Bożego Ciała Pan Jezus roztacza swe łaski na wszystkie ludy całego świata i wzywa je ku sobie, i błogosławi im, wskazując najpewniejszą i najkrótszą drogę do wiecznego zbawienia.

Wszystkim błogosławi, i wszystkich wzywa ku sobie, a szczęśliwy jest ten, kto idzie za Jego wezwaniem i kto sercem pokornem przyjmuje Jego najwyższe błogosławieństwo. Kto w dniu tym wezwania Bożego nie posłucha i nie ukorzy się przed Jego Majestatem, ten sam sobie przypisze zgubne tego następstwa.

Wreszcie procesja powraca do kościoła... I powraca tłum niezmierny, co się duchem w słońcu pławi... Siwy kapłan lub swój wierny znów raz jeszcze błogosławi... Błogosławi ludzkiej doli, co jak szara nić się mota, i tym wszystkim, których boli nędza ziemi i żywota. Błogosławi kwietnym łąkom, błogosławi żyznym łanom, i wieszczącym świt skowronkom, i ginącym w mgłach kurhanom.

Zdrada wojewody Wincza.

Powieść historyczna.

(Ciąg dalszy).

Wincz ponuro zadumany stał, szarpiąc kaftan na sobie

— Nie! Nie może to być! — odparł. — Ja mojej głowy mu nie poniosę. On mi przebaczyć nie może, to darmo; w waszych tylko mózgach roić się może takie pojednanie. To nie męska rzecz... Nie, nie! Siebie znam: on nigdy nie wróci mi łaski. Mam ginąć...

Nie dokończył.

— Król przebaczy — po chwili milczenia, głosem pewnym odezwała się Halka.

Wincz wpatrzył się w nią.

— Skąd to wiesz?

— Wiem napewno — powtórzyła — przebaczy.

Wojewoda zbliżył się niespokojny.

— Mów — począł naglić, — skąd ty przybywasz? kto ci zlecił? mówisz to z siebie?

Wojewodzina myślała trochę, jakby szukała w sobie natchnienia, co powiedzieć była powinna, co zamilczeć; odwaga w nią wstępowała, policzki się lekko zarumieniły.

— Jadę stamtąd — rzekła, — gdzie mogłam napewno się dowiedzieć o tem, co król myśli. Nie zlecono mi nic, bom nie wiedziała, czy się tu dostanę, lecz głową moją ręczę: przebaczy! Będziesz mu, jak byłeś radą i wodzem... zapomni, coś zgrzeszył — jedź ze mną — jedź, błagam!

Spostrzegła wahanie się męża i nalegać poczęła:

— Winczu mój! Ty wiesz, jak mi twoja cześć droga. Zaklinam cię, byś nie wiązał się z nimi. Gniew cię zaślepił, krwawo zapłaciłeś za to. Jeszcze czas, jedź ze mną... wszystko naprawim...

Nadzieja ta, niespodzianie błyskająca wojewodzie, w osłupienie go wprawiła — walczył z sobą. Halka zbliżyła się doń i rękę kładąc na ramieniu, łagodniejszym głosem poczęła pocichu:

— Obóz króla niedaleko, nie wiedzą o nim Krzyżacy, upojeni swemi łatwemi zwycięztwy. Spili się krwią. Król za nimi goni, ściga ich, czekając chwili tylko... Jedź ze mną... noc czarna... powrócisz przedredniem.

Wincz zaledwie mógł uszom swoim wierzyć. Łokietek więc był tak blisko? ścigał Krzyżaków? nie lękał się ich i czyhał na nich? Szala mogła się przeważyć?

Gdyby nie żona, której ufał, zaledwieby mu się to zdało możliwem.

Z ciekawością począł dopytywać o króla Władysława, lecz Halka, nie będąc pewną nawrócenia, miała to pomiarkowanie, iż obrotów jego zdradzić nie chciała. Była w obawie, czy się mimowolnie nie przyczyniła do jego zguby.

— Przyszłam tu po ciebie, aby cię z ich szpon wyrwać — rzekła — chcesz ze mną do króla... jedź... nie? — pocóż ci wiedzieć o nim? Abyś ścigał? a jabym ci go na zemstę dać miała!

Cofnęła się, oburzona samą tą myślą i usta zacięła.

Wyczekawszy trochę, Halka padła przed nim na kolana i poczęła ściskać jego nogi.

— Słuchaj, jedź ze mną! Ja za twe życie i bezpieczeństwo stoję. Powrócisz cały, czy się z nim zgodzisz, czy nie. Słowo mi dali na to. Słowo królewskie święte... Jedź ze mną!

Przez myśl wojewodzie przeszło wszystko, co wycierpiał od Krzyżaków, od swoich, przekleństwo Dobka, wyrzuty własnego sumienia ;nagle z porywczością taką, jakby sam siebie się obawiał, chwycił hełm i płaszcz, nic nie mówiąc. Halka żywo, jakby w nią z nadzieją nowe wstąpiło życie, poczęła mu pomagać do odziania się.

Nie potrzebowała już słowa, znała człowieka... postanowił jechać! Serce jej biło radością niewymowną, oczy błysły łzami szczęścia.

Wojewoda z gorączkowym pośpiechem przypasywał miecz, brał i rzucał odzież; oczy jego latały po namiocie, ale nie mówił nic. Nie wołał nawet Włostka, bo i jemu zwierzać się nie chciał.

Dogorywającą lampkę zdmuchnął, podał rękę żonie. Szli już z namiotu precz... nie spytał nawet, jak się z obozu wydobyć, jak do króla dostać mieli, ufał żonie ,a do stracenia nic już nie miał... nie dbał o nic!

Gdy wyszli z namiotu, Halka zawahała się trochę, szukając kogoś oczyma; dwa nieruchome cienie stały opodal trochę. Szli ku nim.

Noc była czarna; wiatr, który się uspokoił, zrywał się znowu chwilami, przelatywał ,szumiąc nagle i opodal; niebo zakryły chmury, pomiędzy któremi ukazywały się gdzieniegdzie blade gwiazdki i znikały.

Halka szła śmiało aż do tego miejsca, w którem spostrzegła stojących nieruchomo ludzi.

Jeden z nich przystąpił do niej bliżej i poznawszy, ruszył przodem, wskazując drogę. Drugi pozostał za nimi w tyle.

Wojewoda, który nie pytał o nic i dał się wieść, mijając tę postać tajemniczą, co miała im towarzyszyć, rzucił na nią okiem i zdało mu się, że poznał jednego ze swoich. Tym tylko sposobem dawało się tłumaczyć, iż Halka przez obozowisko dostała się do jego namiotu. Byli tu tacy, co jej pomagali.

Wiodący ich szedł przodem ostrożnie, mijał szałasy, a nadewszystko niedopalone ogniska, których światło zdradzićby ich mogło. — Szli ciągle przez stanowiska, zajęte ludźmi wojewody i nie potrzebowali przebywać krzyżackich, pomiędzy które ważyć się nie było bezpiecznem.

Pochód ten pieszo po nocy trwał dość długo, bo kilka razy wrzawa i krzyki niedalekie zmuszały ich wstrzymywać się, czekać, oglądać, aby nie wpaść w ręce ciurów i hałastry, której obozy były pełne.

Tak przedarli się wkońcu na łąkę, wśród której spętane konie biedniejszych ludzi pasły się pod dozorem czeladzi. Ale ta spała znużona.

Z boku stały konie i ludzie. Spodziewano się, czy nie, wojewody, lecz wierzchowiec dla niego czekał osiodłany. Halka, która dawniej nieraz w szczęśliwych czasach towarzyszyła mężowi na łowy, dosiadła pierwszego podanego jej konia; dwaj ludzie towarzyszący im dotąd, skoczyli na siodła. W milczeniu, cicho, stępią wyruszyli od skraju obozowiska łąką, ponad rzeczułką, ku czarnej ławie lasów, stojącej w dali. Przewodnik, świadom drogi, mimo nocy wiódł z pewnością taką, jakby z zawiązanemi oczyma mógł się tędy przedzierać.

Gdy tentent już w obozie dosłyszanym być nie mógł, puszczono konie żywszym kłusem.

Wojewoda, jadący obok żony, z głową obwisłą na piersi, nie otwierając ust, cały w sobie zamknięty, dawał się prowadzić, nie okazując znaku życia. Halka z podniesioną twarzą, którą wiatr smagał, w dal oczyma otwartemi napróżno patrząc, jakby ciemności zwyciężyć chciała, śpieszyła, to półsłowy naglac

wiodącego, to się zwracając ku temu, który jechał za nimi. Poruszoną była, dawała rozkazy, czuła się wodzem...

W lesie stało się straszliwie ciemno i droga była prawie nie do rozpoznania. Tu już przewodnik najlepszy nie mógł nic, lecz stał za niego instynkt zwierząt; konie czuły miejsce, z którego wyszły i gdzie ich reszta pozostała. Puszczono je swobodnie.

Drożyna ciasna nie dozwalała inaczej jechać, jak gęsiego i żona puściła wojewodę przed siebie, sama zostając w tyle.

Zdawało się wojewodzie marzącemu o tem, co się stało, niepodobieństwem, ażeby Łoktek miał się znajdować w tak niewielkiej odległości od Krzyżaków. Nieograniczone zaufanie, jakie w żonie pokładał, uspokajało go. Myślał: będzie li możliwem dotrzeć do Łoktka i nim zadnieje, powrócić niepostrzeżonemu do namiotu? Nie pytał jednak, nie mówił nic — czekał!

Wtem dało się słyszeć zdala rżenie konia, a te, na których jechali, odpowiedziały na nie wesoło. Nic jednak jeszcze widać nie było, ciemności leśne ich otaczały, a puszcza była podszyta i gęsta.

Nierychło poczuli dym w powietrzu, — to było drugie znamię zbliżania się do ludzi... U nóg ich w dole była nad rzeczką dolina, rozlegająca się szeroko, w której domyślać się było można obozu.

Jadący przodem poskoczył, szukając straży obozowej, która znalazła się tuż. Poszeptali z sobą. Stępią i pocichu posuwali się ku dolinie.

Cicho leżał obóz uśpiony napozór, lecz w istocie czuwający i jakby przyczajony. Ludzi pieszych snuło się wielu od namiotu do namiotu we zbrojach, przy mieczach, pilnujących porządku.

Nie było to owo wrzawliwe a pijane obozowisko krzyżackie, ale coś nakształt zasadzki, wyczekującej chwili sposobnej, aby się rzucić na nieprzyjaciela.

Wojewoda kapturem przysłonił twarz; jechał niespokojny, oglądając się ku Halce, która, jak tylko droga pozwoliła, zrównała się z nim, stając do jego boku.

W pośrodku plac był obszerny, obwiedziony sznurem; na nim duży namiot, szary, przysadzisty i jak kilka grzybów z ziemi wyrosłych, trochę mniejszych po bokach.

Tu straże chodziły gęściejsze... W namiocie wielkim przez płótno widać było światełko we wnętrzu.

Przewodnik zsiadł, a za jego przykładem zsunęła się z konia wojewodzina. Naprzeciw nim szedł już słusznego wzrostu mężczyzna, któremu kobieta szepnęła słów parę i ciągnąc pośpies nie za sobą męża, podeszła z nim do namiotu.

Dawał z sobą czynić, co chciała; nie miał woli.

Towarzyszący im ludzie pozostali w pewnem oddaleniu.

Gdy tak czekali u drzwi namiotu, wojewodzina zbliżyła się do męża, chwyciła rękę jego i do ust ją przykładając, zawołała poruszona, głosem, w którym słychać było łkanie:

— W twoich rękach los nasz! Cześć naszą!... Życie... wszystko!

Wtem podniesiono opłotek, światło przedarło się z wnętrza i na jasnem tle wystąpiła maleńka, znana wojewodzie postać króla, który sam wychodził ku niemu do progu.

V.

Milczący zbliżali się ku sobie: król taki, jakim bywał w najcięższych chwilach życia, kamienny, nieporuszony, zdrętwiały a silny; wojewoda wzburzony, niespokojny, upokorzony, roznamiętniony walką z sobą samym, niepewien, co pocznie, przybity i dumny razem.

Od jednego słowa, od brzmienia głosu zależeć mogło wszystko.

Wincz też nie śpieszył przemówić, a król patrzał nań cierpliwie i czekał. Mierzyli się oczyma. Łoktek spokojem swym zwyciężył go; wojewoda zmuszony był spuścić wzrok.

Nie mogąc doczekać się od niego słowa, bo Wincz, jak winowajca, stał z głową zwieszoną, niemy, oczów już nie śmiejąc podnieść ku niemu, król szepnął cicho, głosem, w którym brzmiała boleść mężna i nieulękniona:

— Nie tak my z sobą spotykać się byliśmy powinni, nie tak!

Z piersi Wincza wyrwało się coś niewyraźnego, jak łkanie i poplątane wyrazy, bezładne, raczej jęk boleści i upokorzenia.

Łoktek rękę ku niemu wyciągnął.

— Przyszedłeś tu, zawierzyłeś mi, toś już uczynił krok wielki; z Bożą pomocą i reszta się dokona.

To mówiąc, począł król iść ku środkowi namiotu, skromnie i prawie ubogo, jak zwykle, urządzonego; wojewoda wlókł się za nim.

Wtem podniósłszy oczy, zdala spostrzegł stojącego w rycerskiej a pańskiej postawie, lecz z łagodnym twarzy wyrazem, młodego Kazimierza — i pobladł na widok jego.

Przypomniał mu upokorzenie, on, co był zajścia całego przyczyną. W tej chwili, oblany krwią, która mu na twarz wystąpiła, wojewoda możeby się był cofnął, gdyby królewicz nie przystąpił doń z wyciągniętą ręką. Nie rzekł nic, lecz pokazał, że nie pamiętał winy i gotów był ją przebaczyć.

Wojewoda, który czuł się winnym, dobrocią obu został złamany, skłonił głowę, okazując się na wszystko gotowym, powolnym.

— Słuchaj, Wincz — odezwał się król, gdy młody pan odstąpił nieco, nie chcąc się mieszać do początku rozmowy, której został świadkiem. — Słuchaj, Wincz, na rany Zbawiciela, na miłość dla tej korony, którą mi zdobyć i połączyć pomagałeś, na dawne twoje przywiązanie dla mnie, zaklinam cię, krok twój nieszczęśliwy napraw! My — tu wskazał na syna — zapomnimy o wszystkiem, ja ci na to przysięgam uroczyście! Ratuj nie mnie, nie nas, ale Polskę! Jam dla tej korony niejeden raz życie niósł i dziś je dać gotów jestem. Ty jej nie gub i nie podawaj w ręce obcym!

Wincz położył rękę na piersiach i wyjęknął:

— Panie mój!

Głosu mu zabrakło.

— Widzisz, co ci złoczyńcy, z którymi sprzymierzyłeś się, czynią z nami. Doświadczyłeś już ich — mówił król. — Zniszczyli tę twoją i moją Wielkopolskę, stratowali ją, spustoszyli, złupili. Nikomu oni nie przebaczą — ani wam! Zgubicie kraj, zginiesz ty!

— Panie! miłosierny panie! — począł wojewoda — ach! zawiniłem... aleś ty mnie starego w samo serce ubódł, upokorzył i znieważył. Oszalałem z bólu.

— Ja? czem? — przerwał król. — Wincz, ty sam zważ i sądź! Ja sam gotówem synowi miejsca ustąpić, a tyś chciał, abym ciebie przeniósł nad niego? Przecież on, da li Bóg utrzymać ją na skroni, będzie koronę nosił; a żeś ty przyszłemu królowi rządów musiał ustąpić, byłoż to upokorzenie?

— Wojewodo — odezwał się Kazimierz zdala, głosem łagodnym — szanowałem cię i byłbym rad twych

słuchał, jak ojcowskich. Źli ludzie podbechtali mnie... i oni są sprawcami niesnaski. Ja was uniewinniam...

Wtem król, pomilczawszy, dorzucił:

— Słyszysz, Wincz?... Zawdzięczymy ci oba, powracaj do nas, powracaj!

Wojewoda tchnął z głębin piersi.

— Panie — szepnął, wahając się — jakże to dziś się da zrobić? Jam w ich rękach, niestety! Chcieć się wyrwać, wyrzezą nas do nogi, zbójcy ci... Ze mną ród mój niemal cały...

Król, przysłuchując się, powoli począł przybliżać do niego.

— Byle najmniejsze podejrzenie powzięli, tego im potrzeba — ciągnął dalej wojewoda — osaczą nas, jak zwierza w lesie, siły nasze im nie sprostają, zginiemy wszyscy. Co komu po tem!

— Zgubić się byłoby nierozumnem — przerwał żywo Łoktek; — tego ja od was nie chcę, ani myślę na to narazić. Owszem, pozostańcie z nimi, idźcie! Nie wydawajcie się z tem wcale, co mieć będziecie w sercu i myśli. Ja ścigam ich oddawna, krok w krok dążę za nimi, bliska jest, zdaje mi się, chwila, gdy się rzucę na nich, wtedy, kiedy się mnie najmniej będą spodziewali. Jeśli nie do walnej bitwy, której ja im wydawać nie myślę, przyjdzie do rzezi i pomsty! Gdy zawrę... naówczas ty bądź w pogotowiu; napadnijcie na nich wraz ze mną z drugiej strony, a sprawim im łaźnię, iż noga ich nie ujdzie stąd. Zapłacą za krew ziemian moich i chłopków!

Król, mówiąc to, zadrgał cały.

— Zapłacą! — powtórzył zimno i dobitnie — zapłacą!

Wojewoda podniósł powoli oczy, w króla się wpatrzył i głową dał znak przyzwolenia na myśl jego. Łoktek mówił dalej:

— Chcieli mnie zniszczeniem ziemi mojej przerazić i odstraszyć, okrucieństwem zmusić, abym im oddał na pastwę Pomorze, z czemś więcej jeszcze i pokłonił się... ale nie dopną, czego chcieli. Ząb za ząb, będę i ja okrutnym, nie przebaczymy ani płaszczom białym, ani złotym łańcuchom, ani panom gościom, co na nas, chrześcijan, jak na łowy, przyjeżdżają.

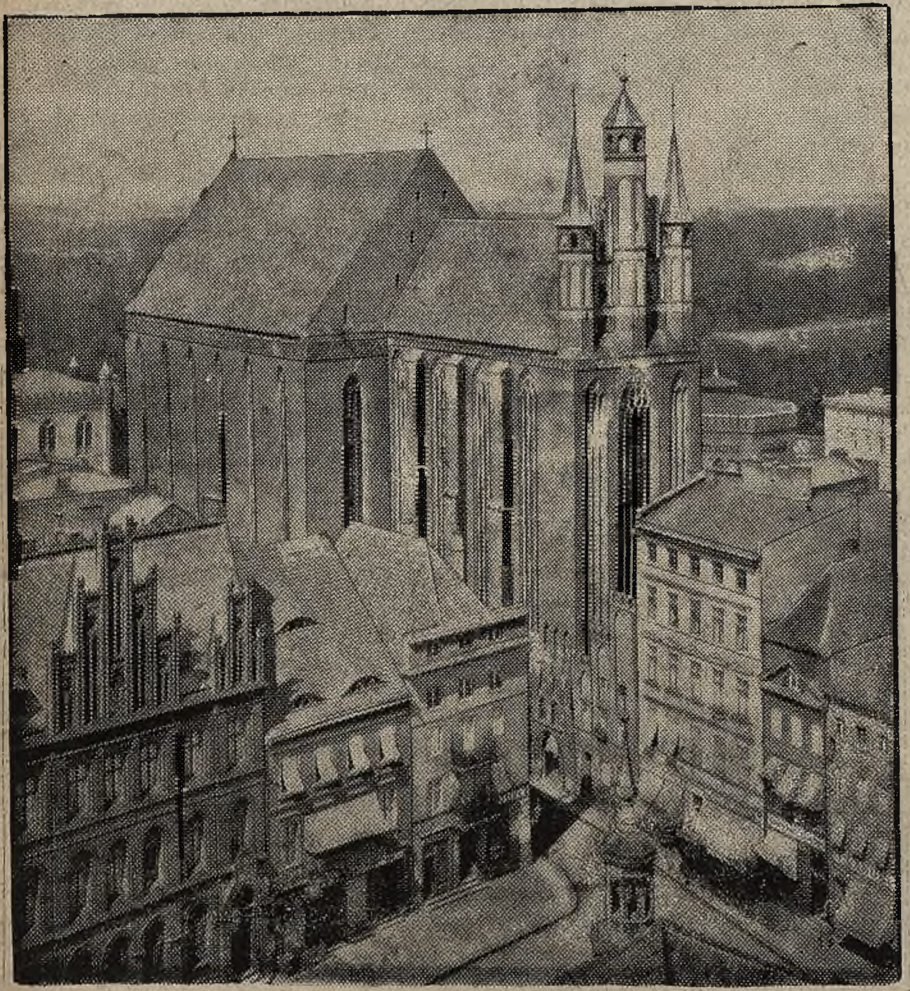
Król wstrząsnął się cały, lecz natychmiast ostygać począł.

— Chwila bliska — mówił dalej Łoktek, patrząc na wojewodę zdumionego i jakby niedowierzającego. — Ufam w Bogu moim; nie może On dopuścić, aby się bezkarnie pastwiono nad narodem chrześcijańskim. Pomścimy krzywdy nasze, a tych żołdaków zgniećiem. Nie będziesz czekał długo, pewien jestem. Padnę na nich, gdy o mnie wiedzieć nie będą, ani się spodziewać; ale ty, wojewodo, pomocą mi być musisz... w ich krwi zmażesz winę twoją.

Król zamilkł, wyciągając go na odpowiedź.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Siedmsetlecie miasta Torunia.



W bieżącym roku upłynęło 700 lat od chwili, kiedy Toruń otrzymał tytuł i charakter miasta. Gród toruński założyli Krzyżacy w miejscu dawnej polskiej osady Tarnowo. Od roku 1466 do 1772 należał Toruń do Polski; od roku 1807 do 1815 wchodzi w skład Księstwa Warszawskiego, poczem zagrabili go Niemcy i trzymali aż do końca wielkiej wojny światowej w swem posiadaniu. Obecnie należy znowu do Polski. W Toruniu urodził się Mikołaj Kopernik w 1475 roku. Dom, w którym ujrzał światło dzienne największy astronom świata, istnieje dotąd. Obok ratusza wznosi się pomnik na jego cześć. Na obrazku naszym widzimy kościół Najświętszej Marji Panny w Toruniu, zbudowany w stylu gotyckim. Jest to jedna z najokazalszych świątyń w całej Polsce.

Toruń leży w tak zwanych Prusach Zachodnich, na prawym brzegu Wisły, w pobliżu dawnego Królestwa Polskiego. Liczy kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców i jest znacznem ogniskiem handlowem w przystani wiślanej staje do 1.000 statków rocznie. Sławny jest z wyrobu tak zwanych pierników toruńskich.

Błogosławieństwo Pana Jezusa.



Zamieszczony obok obrazek przedstawia widok kościoła św. Piotra w Rzymie, do którego spieszą tłumy wiernych, aby oddać cześć Zbawicielowi świata w roku, ogłoszonym przez Ojca świętego, jako rok święty. A kościołowi temu i tym tłumom błogosławi sam Jezus Chrystus, wyciągnąwszy ponad nimi Swe Boskie dłonie i zwróciwszy ku nim jaśniejące chwałą wiekuistą Oblicze. W dali na wzgórzu widać trzy krzyże, jako przypomnienie światu, że przez śmierć krzyżową przed 1900 laty odkupił Pan Jezus świat cały, a ludziom tego świata zgotował mieszkanie w niebie, o ile pójdą za wskazaniami Bożemi. U dołu obrazka jest napis łaciński: »Annus sanctus 1933—34«, co znaczy po polsku: »Rok święty 1933 na 1934«.

Wilkołaki.

Oddawna zajmowano się historją wilkołactwa. Niemiec Hertz i Anglik Baring Gould opracowali nawet obszerne monografje tego przedmiotu.

Pierwszy tak streszcza historję zapatrywań uczonych na to zjawisko:

Na początku wieków nowożytnych wierzono w rzeczywistą przemianę człowieka w wilka, byli i przeczący temu, ale ci się znajdowali w mniejszości.

Inni znowu dopatrywali się w tem sprawki djabelskiej, mniemając, że to szatan tak otumani człowieka, iż mu się naprawdę zdaje, że jest wilkiem: albo też okrywa człowieka prawdziwą skórą wilczą i każe mu przyjąć wilczą naturę. Skórę sporządza ze zgęszczonego powietrza. Jeszcze inni utrzymywali, że djabeł usypia człowieka na to, ażeby wziąwszy duszę dokazywać w wilczej sórze. Najwięcej było takich, którzy mniemali, że dusza śpiącego opuszcza ciało i broi, przybierając na się wilcze ciało.

W wieku racjonalizmu tłumaczono wilkołactwo albo jako ślad i wspomnienie obrzędowych przebrań kapłanów pogańskich, albo jako powrót do atawistycznego ludożerstwa, albo jako oszukiwanie ludzi; inni znowu myśleli, że włóczęgi i kłusownicy udawali wilków, aby ujść prześladowań; najmędrsi poczytywali je za zaraźliwą chorobę umysłową.

Z czasów starożytnych najwięcej świadectw o wilkołakach dostarczają nam Grecy i Rzymianie.

Lekarze greccy znali wilkołactwo jako chorobę i przezwali ją likantropją (dosłownie: wilko-człowieczeństwem). Herodot powiada, że „jeżeli mamy wierzyć Scytom i w Scytji osiadłym Grekom, to każdy z plemienia Neurów raz do roku zamienia się w wilka na kilka dni, a potem wraca do zwykłej postaci".

Pisarze łacińscy często wspominali o wilkołakach, nazywając ich „versipellis" (dosłownie: „ten, który zmienia skórę"). Wergiljusz mówi o niejakim Moerysie, że zapomocą różnych ziół umiał obracać się w wilka i krył się w lasach.

U Skandynawów i Germanów, wilkołactwo od najwcześniejszych czasów znane było i opisywane.

W wierzeniach ich wilkiem stawał się człowiek, wdziewając na siebie „wilczą koszulę" albo „wilczy pas".

W Anglji średniowiecznej wierzono, jak i gdzieindziej w istnienie wilkołaków. Nazywano ich „werewoli", w liczbie mnogiej „werewolves", podobnie jak po niemiecku (Werwolf, dawniej Wärwolf i Wåhrwolf), co dosłownie znaczy „człekowilk".

We Francji znano również dobrze wilkołaka. Nazywano go loup-garou, przekręcając nazwę niemiecką Werwolf.

W kronikach średniowiecznych często można spotkać wzmianki o wilkołactwie. Są one odbiciem wiary powszechnej wszystkich ludów europejskich w tę metamorfozę.

A u nas? w Polsce?

Wyraz ten i pojęcie jego przyszło do nas ze Słowiańszczyzny południowej w epoce, kiedy baśni o upiorach i wilkołakach odżyły tam z niezwykłą siłą, a echo ich rozbiegło się po Europie.

Trudno orzec, kiedy u nas poraz pierwszy pojawiła się nazwa wilkołaka; być może, iż w w. XVI, bo zdaje się, że wcześniejszej wzmianki od tej, którą mamy w „Weselu" Winiewskiego, dotąd nie wykryto.

Podań o wilkołaku jest u nas mnóstwo.

Wieśniacy w Hrubieszowskiem i Zamojskiem opowiadają, że wilkołak jest najdrapieżniejszem zwierzęciem, że się rzuca na ludzi, wykopuje świeżo

pochowane trupy, kaleczy bydło, porywa dzieci, które się bronić nie zdołają, a choć sam ich nie pożera, ale towarzyszące mu zwyczajne wilki to czynią. Z wyglądu podobny jest do wilka, tylko jest większy, i dlatego rej wodzi pomiędzy wilkami. Jest bardzo zmyślny, umie otwierać drzwi do obór i stajen, łazić po drabinach i włazić do mieszkań ludzkich oknem. Często odbiera pokarm pracujących w polu, wyjada mleko z dzbanków, ser i chleb z zawiniątek. Nie rodzi się z wilków, ale powstaje z człowieka, zaklętego przez czarownika lub czarownicę i póty żyje w tej przemianie, póki mu będzie przeznaczone. Czasami w późnym wieku wraca do postaci ludzkiej, a nie znalazłszy rówieśników, nudzi się swem osamotnieniem i wraca do wilczej skóry i do lasu.

W. Prusiech Królewskich wierzą dotąd w wilkołaki. Powiadają tu, że poznać je można po krótkim ogonie; ludzie zaś, mający dwa wiry na głowie, są z pewnością wilkołakami.

W Kieleckiem twierdzą, że Pan Jezus, chodząc ze św. Piotrem po świecie, dowiedziawszy się, że wielu jest takich łakomców, co cudzy dobytek zabierają i lubią jeść samo mięso, poprzemieniał w wilkołaków. Z początku chodziły one na dwóch nogach, ale później nakazano im chodzić na czterech, jak prawdziwe wilki.

Wiara w istnienie wilkołaków istnieje dotąd w całej pełni nietylko u ludu naszego, ale u wszystkich Słowian, na Litwie i Łotwie, w Niemczech, Francji, nawet w Anglji, o której Tylor dowcipnie powiada, że się tam udało łatwiej wytępić wilki, niż wilkołaki.



MACIEK BZDURA GADA:

Mosiek Pejsower potrzebował sobie pojechać do Krakowa. A wiadomo, ze zaden zydek nie pojedzie nigdzie la przyjemności, bo on nawet, jak nibyto jedzie gdzieś la przyjemności, to i przy tej przyjemności musi parę złocisów zarobić. Przyjemność bez zarobku, to la niego zadna przyjemność. Pojechał tedy Mosiek Pejsower do Krakowa nibyto la przyjemności, ale, aby ta przyjemność była jesce więksa, wziął ze sobą dwa kosyki jajków, parę worków starych smat, kilkanaście skórek królicych i mnogo inksego drobiazgu. We wsi o takie rzecy nietrudno. Jedno mozna dostać za wodę, uperfumerowaną trochę okowitą, inkse za precent od pozyconych pieniędzy na pięć od sta miesięcnie, a jesce inkse za chusteckę, wartającą złotego, a zapłaconą przez kumę Magdę jajkami za śtyry złote.

Jak się jedno z drugiem połący i pojedzie się do Krakowa, to się podróz opłaci, a jak się podróz opłaci, to i przyjemność jest wielka, ze nie potrza i więksej sukać.

Pojechał tedy Mosiek Pejsower do Krakowa, a ze miał duzo towaru ze sobą, więc, chcąc nie chcąc, musiał se nająć dryndę, aby mu to wszyćko odwiezła na Kazimierz. Dojrzawsy zdaleka dwa takie egzemplarze, pocął kiwać na furmanów wszyćkiemi ręcami i przyzywać ich do siebie. Dryndziarze, to naród okropnie łasy na zarobek. Ino zuźreli Mośka, tak cem duchu batami po śkapinach i obaj prawie równocześnie zjawili się przed Mośkiem.

Mosiek, nie w ciemię bity, ino gdzieindziej, postanowił wyzyskać sytuację i pojechać z tem, który mniej weźnie za furmankę. A furmani, jak furmani: zamiast jeden drugiemu ustąpić, pocęli się licytować ku dołowi. Jak pirsy powiedział śtyry złote, to drugi spuścił na półcwarta, a wtencas pirsy zasie na trzy, a drugi na półtrzecia. Wreście pirsy powiedział, ze pojedzie za dwa złote i powiedzenie to juz przestrasyło tego drugiego, ze dalej opuscać nie chciał. Mosiek, widząc, ze prawie zabezdurno przetransportuje wszyciek swój towar na Kazimierz, rozwalił się w fijakierskiej dryndzie i kazał znosić furmanowi towary.

Utrata zarobku tak rozeźliła drugiego dryndziarza, ze pocął wymyślać Mośkowi od kacapów, pejsaców i inksych niechrzczonych stworzeń. To zasie okrutecnie rozsierdziło Mośka, ze go na zapłaconej własnemi piniądzmi dryndzie ktoś śmie obrazać, tak wszczeknił się ze złości, jaz mu ślina wyleciała na brodę i powiada:

— Ty mysigen, ty rozbójnik! Ja tobie powiadam, idź z Panem Bogiem do djabła!

Oburzyło to okrutecnie tego bezrobotnego dryndziarza, więc nie schował języka do kieseni, ale zacął kląć Mośkowi:

— Obrzezaniec, jucha — powiada. — Pudel za brodę sarpany. Jajcarz i smaciarz piesecki!

Usłysał to pirsy dryndziarz i ujął się za Mośkiem, jako swojem towarem:

— Ty — powiada — tylko się oblicaj ze słowami, jak się, siroto bez własnego ojca do cudzego pasazira odzywas.

— Ja go, łachudrę, jesce nie tak wykształcę — na to ten drugi.

— No i co mu zrobis — roześmiał się pirsy.

— Ot co mu zrobię! — zawołał ten drugi i łunął Mośka batem przez łeb raz i drugi.

— Ny, co za figle? — zawył Mosiek i jak z procy wyskocył z dryndy na ziemię, a dryndziarz za nim i wali, a wali.

Ujrzał tamten pirsy, ze jego gość jest w nieprzyjemnem położeniu i chciał mu lecieć na ratonek, ale w tej chwili zobacył, ze w dryndzie drugiego dryndziarza rozwalił się jakisik inksy pejsac, który takoj przyjechał koleją i chciał jechać na Kazimierz. Dryndziarz, nie namyślając się wiele, przyskocył do niego i łunął go raz i drugi batem.

— Zobacym — powiada — kto dłuzej wytrzyma: mój, cy twój! — i dalej lał batem pejsatego jegomościa.

Na scęście wrzaski zydków usłysała policja, przybiegli policaje i zabrali obydwóch dryndziarzy do konwisarjatu.

Ten, co pirsy zacął bić Mośka, tłomacył się na policji, ze latego go bił, bo mu kazał iść z Panem Bogiem do djabła, a ten drugi zasie dowodził, ze równiez miał słusność, bo jak kolega bił jego gościa, to on musiał bić jego gościa, aby nikt nie był pokrzywdzony.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Antylle III.

Cztery podróże odbył Krzysztof Kolumb przez ocean Atlantycki, a za każdym razem odkrywał nowe wyspy, należące dzisiaj do tak zwanych Antyllów, a wreszcie i samą Amerykę. Ale już pierwsza jego podróż omal nie skończyła się dla niego nieszczęśliwie. Z trzech okrętów, na jakich wyruszył w pierwszą podróż, pozostał mu tylko jeden, a i ten był bardzo stary i dobrze uszkodzony. Jeden rozbił się o skały, na drugim kapitan Don Pinzon z częścią załogi uszedł potajemnie, aby na swoją rękę poszukiwać złota, a wreszcie sobie przywłaszczyć zasługę odkrycia nowych ziem.

Gdy się o tem dowiedział Kolumb, postanowił corychlej powrócić do Hiszpanji, aby się nie dać uprzedzić Pinzonowi. Zostawił na wyspie Hispanioli 38 Hiszpanów w nowowybudowanej twierdzy, a sam z resztą puścił się na morze. Trzeciego dnia po rozpoczęciu swej powrotnej podróży doścignął wiarołomnego Pinzona, który wprawdzie nic nie odkrył, ale chciał się prześlizgnąć do Europy, ażeby być pierwszym oznajmicielem radosnej wieści. Pinzon zaczął szukać rozmaitych wykrętów, aby usprawiedliwić swą zdradę, co mu się jednak nie udało. Mimo to Kolumb darował mu winę.

Kiedy Kolumb wylądował po 10-tygodniowej podróży na brzegach Hiszpanji, ludność omal nie udusiła go z radości, a w Barcelonie król Ferdynand i królowa Izabella przyjęli go nadzwyczaj serdecznie.

Drugą podróż w dniu 25 września 1493 roku Kolumb przedsięwziął już na 17 okrętach. W czasie tej podróży odkrył Kolumb wyspy Dekadę, św. Dominika, Gwadelupę, Antigue, Portoriko i inne. Tu jednak krajowcy nieprzychylnie przyjęli przybyszów; dawały się również spostrzegać ślady ludożerstwa.

Z 1.500 towarzyszy owej drugiej podróży znalazło się zaledwie trzech, którzy Kolumbowi nie zazdrościli uzyskanej sławy. Reszta złorzeczyła mu i przeszkadzała we wszystkiem. Kolumb znajdował się w przykrem położeniu, a do tego rozchorował się. Wyzdrowiawszy, udał się na Hispaniolę i tu ku swojemu najwyższemu przerażeniu zastał powstanie, o którem pisaliśmy już w poprzednim numerze. Powstanie to perswazją uspokoił Kolumb, ale właśnie wtenczas zjawił się pełnomocnik króla hiszpańskiego, który



Antylle. Wyspa św. Tomasza.

spisał z Kolumbem protokół i wysłał ten protokół do króla, aby ten Kolumba ukarał. Pośpieszył więc Kolumb do Hiszpanji, aby się z zarzutów oczyścić, co nie sprawiło mu żadnej trudności.

Ale i w Hiszpanji życie Kolumba nie było zbyt różowe, gdyż wielu zazdrościło mu uzyskanej sławy. Postanowił więc jeszcze raz udać się poza Atlantyk. Dano mu, jako załogę, samych zbrodniarzy. Mimo to Kolumb dotarł już nie do wysp, ale do lądu stałego Ameryki przy ujściu do morza rzeki Orinoko. Choroba i niechęć załogi nie dozwoliły mu na dalsze odkrycia i badania. Udał się więc na Hispaniolę, aby nieco odpocząć i nabrać nowych sił, ale tu spotkała go prawdziwa niespodzianka: został aresztowany przez nowego pełnomocnika hiszpańskiego Franciszka Bowadille i odesłany do Hiszpanji. Skutego w kajdany, jak jakiego zbrodniarza, wysłano do Europy. Wprawdzie na okręcie kapitan chciał mu zdjąć kajdany, ale Kolumb nie zgodził się na to, chcąc, aby wszyscy widzieli, jaka go spotkała nagroda za jego trudy. I rzeczywiście ogół ludności w Hiszpanji oburzył się widokiem takiego postępowania z wielkim podróżnikiem. Król i królowa poznali swój błąd, przeprosili Kolumba i przypuścili go do swej łaski, ale Kolumb zniechęcony opuścił dwór królewski, unosząc z sobą owe kajdany, które później zabrał nawet ze sobą do grobu.



Antylle. Wioska Wanu na wyspie Wanikao.

Wkrótce jednak w duszy Kolumba obudził się stary nałóg. Zjawił się znowu na dworze królewskim z nową propozycją, a król Ferdynand dał mu cztery liche okręty, na których puścił się poraz czwarty w daleką podróż. Podróż ta jednak była bardzo nieszczęśliwa. Ówczesny namiestnik Hiszpanji na wyspie Hispanioli jakiś Owando, nie pozwolił nawet Kolumbowi wylądować. Popłynął więc na stały ląd, ale tu towarzysze jego swem postępowaniem oburzyli tak krajowców, że musiał uchodzić, aby uniknąć niechybnej śmierci. Po wielu trudach dostał się wreszcie na Jamajkę, ale okręty jego były już tak zniszczone, że o jakiejkolwiek podróży na nich nie było mowy. Sześć miesięcy przebył na tej wyspie i tylko

cudem uszedł z niej cało. Podwładni jego słuchać go nie chcieli, wszystko się rozprzęgło; pomimo wołania i próśb nie mógł ochronić Indjan od prześladowania. Hiszpanie w znacznej części zmówili się, porzucili wodza i plondrowali bezkarnie po wyspie, szukając złota z właściwą sobie chciwością. Dzicy cofnęli się w głąb wyspy i przestali dostarczać żywności niegodnym przybyszom. Kolumb, jakkolwiek chory, i tym razem sprytem swoim potrafił uratować załogę od śmierci głodowej. W wigilję całkowitego zaćmienia księżyca, o którem zgóry wiedział, zapowiedział dzikim, że Bóg jego bardzo się na nich gniewa za ich nieuczynność i że da im poznać swój gniew na tarczy księżyca, która zupełną pokryje się ciemnością. Zaćmienie nastąpiło właśnie w tej chwili, gdy Kolumb skończył mówić, a Indjanie rzucili się wówczas do jego nóg i poczęli błagać, żeby ułagodził gniew nieba. Kolumb darował im winę, a oni dostarczali znowu żywności, póki dwóch śmiałych jego towarzyszy nie sprowadziło obcego okrętu, na którym odpłynięto do Europy.

Odkrywca Nowego Świata umarł niemal w zapomnieniu, a odkryty przez niego ląd nazwano nie jego imieniem, ale imieniem innego podróżnika, który znacznie później zwiedził odkrytą przez Kolumba ziemię i opisał ją bardzo dokładnie. Był to szlachcic z Florencji, Amerigo Vespucci, od którego imienia Nowy Świat nazwano Ameryką.

Kolumb umarł, mając lat 59. Brat zawiózł jego zwłoki do San Domingo i pochował je w tamtejszej katedrze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

J. MOKRZYCKI.

TRUCICIELKI.

Powieść kryminalna z 18 stulecia.

(Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

— Cesarz Francuzów Napoleon zabiera się do wojny z naszymi ciemięzcami, tam więc pójdziecie i przy jego boku wywalczycie wolną Polskę. Broń otrzymacie tam, a przewodnikiem w drodze będzie wam ten oto braciszek. Zachować ścisłą tajemnicę i daj nam Boże jak najprędzej na wolnej francuskiej ziemi się zobaczyć.

— Daj Boże! Daj Boże! — zawołali gromadnie chłopi.

Władysław, podawszy każdemu kolejno rękę, życząc pomyślności, opuścił salę i udał się do swych zajęć, kwestarz pozostał i radził z chłopami długo...

Po paru dniach nie znalazł się w okolicy żaden zdolny do noszenia broni chłop Polak. Znikł równocześnie i mnich-kwestarz i odtąd w Fallenburgu i okolicy, żadne oko ludzkie go więcej nie widziało.

Również i pan Władysław, dosiadłszy pewnego dnia swego ulubionego rumaka, wraz z swym wiernym kamerdynerem opuścił zamek i udał się niewiadomo dokąd.

— — — — — — — — — — — — —

Przybywszy do Paryża, Elfryda z matką, wynajęły obszerne mieszkanie przy Avenue Victor Hugo. Baronowa odradzała córce wynajmowania tak obszernego lokalu, twierdząc, że jest on im niepotrzebny, a zbyt drogi na ich szczupłe zapasy gotówki, lecz Elfryda odrzekła, że wcale nie myśli gnieść się w czterech ciasnych ścianach, a jeśli będzie żyć, to i środki do życia się znajdą.

— Co zamierzasz robić, moje dziecko? — zapytała baronowa, gdy tylko rozlokowały się w nowem mieszkaniu.

— Przecież mama wie, — odrzekła — że pomimo, iż przegrałam walkę o Fallenburg, z walki tej wyniosłam jednak zdobycz, która stanowić może teraz dla mnie majątek i to taki, którego wartości narazie nawet ocenić nie mogę. Majątek ten jednak wkrótce będzie do mojej dyspozycji.

— O jakim majątku mówisz, nie rozumiem.

Elfryda dobyła z torebki medaljon, który zabrała Irenie w chwili, gdy ta popadła w letarg i pokazała matce:

— Oto jest mój majątek, z którego zamierzam korzystać.

Baronowa, zobaczywszy medaljon, zdziwiła się niepomiernie, gdyż medaljon ten, jakkolwiek bardzo piękny i kosztowny, mógł posiadać wartość zaledwie może kilku, lub kilkunastu tysięcy franków, jakżeż mógł zatem stanowić majątek, zapewniający jej córce wystawne życie. Skręciła tylko głową i nic nie odrzekła.

— Ha! ha! — zaśmiała się Elfryda — mama z pewnością myśli, że ja tak wysoko szacuję tą marną skorupę. Ha! ha! ha! Nie jestem znów tak skromna, bym mogła się zadowolić majątkiem, uzyskanym z ceny tego medaljonu, chociażby cały był z djamentu. Nie sam medaljon da mi majątek, lecz dokument, który się w nim znajduje.

— Jakto? Jakiem sposobem? — zapytała zdziwiona matka.

— Przecież mama wie, — odrzekła że Irena posiada, względnie posiadała bogatych rodziców. Matka jej, pani de Landre, posiadała tu w Paryżu kroćiowy majątek, który po zamordowaniu jej przez męża zajęty został przez rząd francuski, gdyż morderca według prawa nie mógł być spadkobiercą zamordowanej przez siebie ofiary. Krewnych bliższych pani de Landre nie miała, a o istnieniu dziecka nikt nie wiedział. Z drugiej strony pan Ogiński, magnat, którego fortuna równa się królewskiej, dawny kochanek pani de Landre a przytem prawdziwy ojciec Ireny, pozostał bezżenny, mieszka tu w Paryżu i poszukuje swego dziecka, które w młodości kochankowie porzucili i które będzie jego jedynym spadkobiercą...

— Nie rozumiem — przerwała baronowa — do czego właśnie zmierzasz, i jaka korzyść z tego może spłynąć na ciebie.

— Bo mama nigdy nic zrozumieć nie może — odparła Elfryda — a tem mniej coś wymyśleć. Otóż Irenę można uważać już za nieszkodliwą, gdyż, jak sama mówiłaś, Hubert umieści ją w takiem miejscu, z którego przed śmiercią nie wyjdzie. Kto zatem posiada ten dokument, ten ma prawo do spadku po pani de Landre. Kto przedstawi ten dokument panu Ogińskiemu, tego uzna on za swoje dziecko i może uczynić go spadkobiercą swej olbrzymiej fortuny. Chociażby nawet zresztą Irena kiedykolwiek powróciła i gdyby nawet została ponownie żoną Brzeskiego, nie znając tajemnicy medaljonu, ani pomyśli o dochodzeniu swych praw. O istnieniu tego dokumentu nie wie nikt, z wyjątkiem ojca Ireny a zatem nikt za nim poszukiwać nie będzie.

— Ach, dziecko! — zachwyciła się tem baronowa. — Dlaczegóż nigdy nad tem nie pomyślałam. Ach! to jest doskonałe a najmniej ryzykowne. Dziwię się, że jeśliś już dawno posiadała tą tajemnicę, dla-

czegożeś traciła czas i siły na tę bezowocną walkę o Fallenburg, dlaczego narażałaś się na straszliwe niebezpieczeństwa, mogąc zaraz tu wyjechać i żyć bez troski.

— W pierwszym rzędzie chodziło mi o nasze gniazdo rodzinne, a zresztą miałam i inne powody, o których szkoda wspominać. Myślałam jednak, że mama zrozumiała do czego dążę, gdy już po wyjeździe z portu przybrałam nazwisko Ireny Sieniawskiej a mamę nazwałam panią de Foiljer, mą towarzyszką podróży.

— Sądziłam, że robisz to z ostrożności wrazie jakiegoś niebezpieczeństwa za tamte sprawy.

— Et, co „tamte sprawy" — odrzekła z niechęcią. — Teraz trzeba żyć pod tem nazwiskiem i szukać sposobności na zetknięcie się z Ogińskim. W takiem mrowisku ludzi jest rzeczą wprost niepodobną, abyśmy zostały rozpoznane i zdradzone. Będziemy żyć i używać, zasiadać w pierwszorzędnych restauracjach, robić przyjęcia, zawierać znajomości, dopóki starczy zapasu gotówki, znajdującej się w naszej kasie. Gdy braknie, wówczas otworzą się ogniotrwałe kasy Ogińskiego, który „drogiemu dziecku" nic nie odmówi, a następnie poruszymy pleśniejące w depozytach miljony pani de Landre, a tych do śmierci z pewnością nam nie braknie.

— Jesteś genjalną, moja córko! — zawołała, ściskając ją baronowa. — Wierzę, że potrafisz wyjść ze wszystkiego zwycięsko.

Upłynęło parę tygodni. W eleganckiej kawiarni na Sant Germain Elfryda pod przybranem nazwiskiem Ireny Sieniawskiej zabawiala się w gronie najwykwintniejszych gości Paryża, zaś „Madame de Foiljer" służyła jej zawsze jako towarzyszka i opiekunka. W dużej sali bawialnej, nieco w kącie przy małym stoliku przy flaszce szampana, paląc cygara, siedzieli dwaj starsi panowie, rozmawiając z sobą poważnie:

— No i jakież tam widoki? — zagadnął starszy z szumiastym typowo polskim wąsem jegomość siedzącego obok sąsiada. — Czy aby nasz Bonaparte dotrzyma obietnicy i po pokonaniu Hiszpanów zechce naprawdę dopomóc naszej nieszczęśliwej ojczyźnie?

— Z pewnością on o Polakach nie zapomni. Zadużo złożyli oni dowodów męstwa i odwagi, zadużo okazali przywiązania cesarzowi, by mógł o nich zapomnieć. Byli oni istotnie podwaliną jego potęgi, której budowę wyłącznie na nich opierał.

— U nas wierzą ślepo w Napoleona, chociaż postronni twierdzą, że on prowadzi wojny tylko dla własnej ambicji, a los ujarzmionych narodów a między innemi i nasz jest mu zupełnie obojętny.

— Nie sądzę, mości panie Ogiński, by tak było — odparł sąsiad. — Taki ofiarny i miłujący swą ojczyznę naród, jak wasz, wart jest doprawdy wolności. Napoleon zaś ceni wysoko cnoty waszego narodu, sądzę więc, że was nie opuści i gdy utrwali granice Francji, ruszy wam na pomoc.

— Oby to Bóg dał — westchnął Ogiński. — Połowę mej fortuny ofiarowałem na potrzeby ojczyzny. O ile nie odnajdę mojego dziecka, oddam i drugą. Przykro to jest, panie de Dubois, jeśli na starość nie ma człek nikogo, ktoby się nim zaopiekował, a zwłaszcza, gdy niema swej ojczyzny.

— Prawda, prawda. Najlepsi synowie waszego kraju muszą się tułać i szukać przytułku na obczyźnie. Najwięcej jest ich tu we Francji. Te dwie panie, które tam oto siedzą w gronie młodzieży, to także z Polski. Przyjechały dopiero przed miesiącem. Ta młodsza, to panna, jakaś zamożna, lecz podobno sierota, pozostaje pod opieką tej starszej pani, która jest jej opiekunką i zarazem towarzyszką.

— Nie wie pan, z jakiej okolicy pochodzę?

— Podobno z Inflant. Panna jest szlachcianką polską, jej towarzyszka jest rodowitą Francuzką, lecz tam od urodzenia zamieszkałą. Nazwisk sobie nie przypominam, gdyż ja tych waszych nazwisk jakoś nie mogę spamiętać. O ile sobie przypominam, to są one z miejscowości Fallenburg.

— Fallenburg! Co? Fallenburg! — zawołał, zrywając się Ogiński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

V. BLASCO IBANEZ.

Cud świętego Antoniego.

Od lat Ludwik nie widział ulic Madrytu o godzinie dziewiątej zrana. Podczas kiedy jego towarzysze z klubu zasypiali w najlepsze, on zmieniwszy ubranie, zdążał ku Florydzie (promenada w północno-wschodniej stronie Madrytu) kołysany lekkim chybotem swego eleganckiego pojazdu.

Kiedy wrócił do siebie dobrze po świcie, wręczono mu list, przyniesiony poprzedniego dnia wieczorem. Pochodził od nieznajomej, która od dwóch tygodni prowadziła z nim osobliwą korespondencję, podpisywaną początkowemi literami tylko.

Charakter pisma angielski: pewny i regularny. Jego żona nawet miała tensam charakter pisma. A może to ona prosiła go o randkę o godzinie dziesiątej u wejścia do Florydy w kaplicy świętego Antoniego?

Bah! Co za idjotyczna myśl!

Bawiło go, że śpiesząc na schadzkę, myślał o żonie, tej Ernestynie, której wspomnienie bardzo rzadko chmurzyło jego wesołe kawalerskie życie, lub jak się lubił wyrażać, życie wyemancypowanego męża.

Co ona robi o tej godzinie? Pięć lat mija jak się rozstali i zrzadka miewał tylko o niej wiadomości, a nie spotkali się ze sobą nigdy.

Małżonkowie z miłości, zdrowi oboje i bogaci, mieli wszelkie dane dla zażywania szczęścia na tym padole płaczu, ale po dwóch latach harmonji, Ludwik uprzykrzywszy sobie monotonne życie małżeńskie i wróciwszy do swych towarzyszów z okresu przedmałżeńskiego, nawiązał z nimi serdeczne stosunki.

Ernestyna protestowała daremnie. — Wkońcu, chcąc wzbudzić jego zazdrość rozpoczęła flirt tak niebezpieczny z pewnym członkiem ambasady amerykańskiej, że znajomi podejrzewali ją nawet o uchybienie wierności małżeńskiej.

Ludwik dobrze wiedział, że żona jego była niewinna, ale... nie czuł się stworzonym do rodzinnego życia i kwita! Korzystając więc ze sposobności, udał, że bierze incydent na serjo. Z Amerykaninem załatwił sprawę, raniąc go lekko jednem cięciem szabli — biedny chłopiec! Jaką wielką przysługę oddał mu bezwiednie!

Z Ernestyną zaś rozstał się bez skandalu i bez wdania się trybunału, jakgdyby te dwa lata wspólnego życia były długą podróżą do kraju chimer jedynie. Ernestyna jednak nie chciała wyrzec się Ludwika. Kochała bowiem męża uczuciem głębokiem. Jednocześnie pojednawcze jej kroki, pochlebiające Ludwikowi, irytowały go, jako groźne zakusy na jego cudownie odzyskaną wolność kawalerską. Opierał

się wtedy kategorycznie wszelkim zabiegom poważanych w mieście dawnych przyjaciół rodziny, których mu żona przysyłała w ambasadzie i przestawał nawet bywać w salonach, w których mógł być narażony na „przypadkowe“, przez przyjaciół uplanowane, spotkanie z Ernestyną.

* * *

Powóz zatrzymał się przed kaplicą „San Antonio de la Floryda“. Ludwik wysiadł i dawszy woźnicy znak, aby czekał, poszedł ku kapliczce. Ale na znaczący kaszel woźnicy odwrócił się. Z tramwaju zeszła dama, zmierzająca w jego stronę.

Wysmukła, zgrabna, zbliżała się do niego, szeleszcząc swemi strojnemi sukniami. Ludwik uczuł zapach perfum, któremi był przepojony list, w jego kieszeni. Tak, to ona!

Kiedy jednak dama znalazła się o kilka kroków od niego, osłupiał. Przed nim stała Ernestyna.

— Ażeby się z tobą zobaczyć trzeba używać fortelów, budzących wstręt w duszy uczciwej kobiety — odezwała się ze smutnym, lecz pełnym słodyczy uśmiechem.

Do kroćset! Pomyśleć, że dla tego niemiłego spotkania tak wcześnie wyszedł z domu! Schadzka z własną żoną! Jakżeby drwili z niego przyjaciele klubowi, gdyby dowiedzieli się o tem!

Dwie praczki zatrzymały się w pobliżu pod pozorem zmęczenia, ażeby usłyszeć rozmowę tego pana i tej pani.

— Wsiadaj...! Wsiadaj...! — zawołał Ludwik rozkazującym głosem do żony.

Komizm sytuacji irytował go.

Woźnica ruszył w drogę ku Pardo (park królewski, przylegający do Madrytu, do którego prowadzi piękna aleja z de la Floryda). Małżonkowie, sparaliżowani niezwykłą sytuacją, milczeli.

Ona zaczęła. Ach! Przeklęta! Istny chłopiec w spódnicy! Dlatego uciekł od niej! Ponieważ, mimo pozorna łagodność pieszczotliwej kotki, zawsze stawiała na swojem.

— Słuchaj, Ludwiku... Kilka słów tylko. Kocham cię i jestem zdecydowana wszystko znieść. Jesteś moim mężem i przy tobie powinnam żyć. Obchodź się ze mną, jak chcesz. Bij mnie nawet... będę cię kochała, jak kobiety, które w razach widzą dowód miłości. Chcę ci powiedzieć, że należysz do mnie i nie oddam cię nikomu. Zapomnij o przeszłości; możemy jeszcze być szczęśliwi. Ludwiku, mój najdroższy, która kobieta może cię tak kochać, jak twoja żona?

Chciał milczeć, być wzgardliwym, znużyć ją swoim chłodem, ale przemówienie jej wyprowadziło go z równowagi... Zacząć wspólne życie...? Zaraz...? Czy Ernestyna myśli, że on jest warjat...?

— Pani zapomina, że są rzeczy, których się nie przebacza...! Dobrze nam tak jest, zresztą! Poco zmieniać...? Nie jesteśmy stworzeni do wspólnego życia, dość wspomnieć ostatnie miesiące naszego małżeństwa — istne piekło. Rozstanie służy nam; ja doskonale się czuję, a pani... piękniejsza, niż kiedykolwiek! O, słowo daję, że szaleństwem byłoby psuć mądre dzieło czasu.

Lecz ani ceremonjalne „pani“, ani racje przytaczane przez Ludwika, nie mogły przekonać Ernestyny. Nie jest wstanie żyć dalej w ten sposób. Jej sytuacja w towarzystwie dwuznaczna. Kobiety uważają ją za lekką, łatwą do zdobycia, bez serca i wszelkich uczuć rodzinnych.

— Powiedz, Ludwiku, czy to prawda?

Ale Ludwik, który słyszał już to wszystko od tych, których mu Ernestyna nasyłała, odwrócony prawie że plecami do niej, patrzał na drogę Los Viveros, wysadzaną drzewami, pod któremi kłębił się wesoły tłum.

Ernestyna tymczasem ciągnęła dalej z ustami coraz bliżej ucha męża. Żyłaby jednak spokojnie zdala od niego, gdyby nie zazdrość. Tak, niech się Ludwik z niej śmieje, ale od roku jest o niego zazdrosną, bo dowiedziała się o jego życiu zakulisowem z ladacznicami, które go rujnują. Czy może słuchać o tem ze spokojem? Czy nie powinna bronić swoich praw do męża, jedynego dobra, jakie posiada w życiu...?

Ludwik już nie siedzi do niej plecami. Patrzy jej wprost w twarz z majestatyczną i wyniosłą miną:

— Robię, co mi się podoba! Nie potrzebuję się przed nikim tłumaczyć. Niech pani pamięta, że i ona nie była w zgodzie ze swemi obowiązkami. Kiedy się ma serce złamane, trzeba się starać zapomnieć, rozerwać myśli...

Mówiąc tak, Ludwik ma oczy utkwione w żonę. Jakaż ona piękna, szelma! To nie jest już młodziutka, ładna panienka o wątłej i delikatnej budowie, która bała się dekoltu, ażeby nie świecić wklęsłościami obojczyków! Przez te pięć lat rozstania z nim rozkwitła i jest dziś czarującą, rozkoszną kobietą o kształtach zaokrąglonych. Jaka szkoda, że to właśnie Ernestyna, jego żona!

Ona zaś, czytając w jego myślach, przysuwa się doń coraz bliżej, poddana ,jak ofiara, żałująca swej lekkomyślności, wynikłej z braku doświadczenia, gotowa znosić męki wzamian za trochę miłości.

Ludwik unika teraz zetknięcia z jej ciałem. Zwija się w kłębek w kącie pojazdu, jak nieśmiała dziewica. Myśl o towarzyszach podtrzymuje go jedynie. Co powiedziałby na to przyjaciel jego markiz V., prawdziwy filozof, który szczęśliwy z odzyskania swobody przez rozwód, kłania się swojej żonie na ulicy i całuje jej dzieci, urodzone dawno po rozstaniu z nim. Ten, to przynajmniej mężczyzna, godny tej nazwy! Trzeba położyć koniec tej śmiesznej scenie.

— Nie, Ernestyno — odzywa się stanowczo, mówiąc jej ty — nigdy już nie rozpoczniemy wspólnego życia. Znam cię. Jesteście wszystkie do siebie podobne! Idź swoją drogą! Niech ci się zdaje, że nie znaliśmy się nigdy...

Nie mógł skończyć, gdyż Ernestyna, odwróciwszy się do niego plecami, zaniosła się od gwałtownego płaczu.

Żałując swej brutalności, kazał woźnicy stanąć. Zatrzymali się przy Porte de Fer (Brama żelazna), prowadzącej do parku Pardo; nikogo w tej chwili nie było na ulicy.

— Idź po wodę — rozkazał woźnicy — lub po coś innego — pani zachorowała.

I podczas gdy woźnica biegł do sąsiedniego szynku, Ludwik próbował pocieszać swoją żonę:

— Uspokój się, Ernestyno. Czy to warto? Śmieszna jesteś. Wyglądasz, jak mała dziewczynka.

Ernestyna łkała jeszcze, kiedy woźnica przybiegł z butelką pełną wody. Zapomniał w pośpiechu wziąć szklankę.

— Mniejsza o to. Pij!

Ernestyna wziąwszy butelkę, podniosła woalkę. Żadnych barwideł na twarzy, jak za czasów, kiedy bywała w świecie; skóra jej była świeża, czysta i blada z odcieniem różowym.

Ludwik utkwił oczy w ślicznych wargach, które się ściągnęły, ażeby przylgnąć do szyjki butelki. Er-

nestyna piła z trudem po kropelce. Jedna z nich spadła na okrągły i zgrabny podbródek. Toczyła się leniwie w dół. Ludwik śledził ją oczami, przysuwając się coraz bliżej. Już ma spaść z twarzy... już odpada...

Lecz nie odpadła, Ludwik bowiem, nie zdając sobie sprawy, co robi, wziął ją na swoje wargi i w tej samej chwili uczuł uścisk ramion żony, która wydała okrzyk zdziwienia i radości.

— Nareszcie...! Ludwiku, mój najdroższy...! A widzisz, mówiłam! Jakiś ty dobry!

I ze swobodą tych, co nie potrzebują kryć się z miłością, ucałowali się głośno, nie zwracając uwagi na zdumioną karczmarkę, która przyszła po butelkę.

Woźnica, nie czekając rozkazu, trzasnął z bicza i zawrócił do Madrytu.

— Mamy teraz panią — mruczał pod nosem, popędzając konie. — Wracajmy prędko, nim się pan rozmyśli.

W powozie, małżonkowie trzymając się wpół, patrzyli sobie w oczy rozmiłowanym wzrokiem. Kapelusz zsunął się Ludwikowi z głowy i Ernestyna burzyła mu włosy na głowie, jak w okresie miodowych miesięcy...

Kiedy mijali kaplicę św. Antoniego, Ernestyna, oparta o ramię męża, wyprostowała się mówiąc:

— To on zrobił ten cud, żeśmy się pojednali ze sobą. Kiedy byłam małą dziewczynką modliłam się do niego, aby mi dał dobrego męża. Roztacza nademną powtórnie swą opiekę, zwracając mi mojego najdroższego Ludwika.

— Nie kochanie; twoja piękność zrobiła ten cud.

Ernestyna zawahała się chwilę, poczem odparła poważnie:

— Wiem o tem, drogi Ludwiku, że to, co cię jedna ze mną, nie jest tem uczuciem, którego od ciebie pragnę. Wzięłam cię moją urodą i pożądaniami, jakie w tobie budzę. Wracasz do mnie jak do kochanki, ale zobaczysz, że dobrocią i przywiązaniem doprowadzę cię, jestem pewną, do tego, że będziesz mnie kochał i ubóstwiał, jak żonę

Skrót i tłum. *Jotsaw.*

Poradnik gospodarczy.

O chorobie motylicowej.

Każdy z gospodarzy rolnych, mający inwentarz żywy, wie o tem, że istnieje u nas w kraju ciężka choroba owiec i bydła, zwana motylicą. Jestto zapalenie wątroby, które powstaje wskutek zagnieżdżenia się w niej robaków, zwanych motylicami. Wspomniane zwierzęta zarażają się tymi robakami przez zjadanie zalążków czyli jajeczek tych motylic, znajdujących się na mokrych i bagnistych pastwiskach; zalążki te nazywają się cerkarjami. Po zjedzeniu tych cerkaryj przez bydło i owce, wylęgają się z nich motylice i osiadają w wątrobie i kanale żółciowym.

Motylice wątrobowe należą do tych pasożytów, które do dojścia do pełnego swego rozwoju muszą przechodzić pewne odmiany. Zalążki motylic żyją w kałużach, w rowach i na roślinach łąkowych; zarażają się nimi nieraz całe stada z powodu nawet niezbyt długiego pasania po takich łąkach; najbardziej niebezpieczne są kałuże, tworzące się przez długotrwałe deszcze. Objawy choroby motylicowej polegają na tem, że zwierzęta stopniowo tracą chęć do jedzenia i zaczynają chudnąć; u owiec widzimy zaczerwienienie oczu, niepokój, zgrzytanie zębami i po dniach kilku na brzuchu i piersiach zjawiają się obrzęki; choroba ta trwa do dwóch tygodni i zwykle kończy się śmiercią, o ile nie będą zastosowane odpowiednie lekarstwa. U bydła objawy polegają na tem, że chore sztuki chudną, gorączkują, słabną, stękają i zdychają z wycieńczenia.



Dojrzała motylica, przebywająca w wątrobie (w powiększeniu).

Przy badaniu wnętrzności padłej sztuki widzimy znaczne powiększenie wątroby, jest ona blada, twarda i po rozkrajaniu jej znajdujemy tu znaczną ilość motylic, a także i w kanale żółciowym. Wrazie podejrzanych zasłabnięć pomiędzy owcami — najlepiej jedną z chorych sztuk zabić i zbadać wątrobę i po stwierdzeniu obecności w niej motylic, pozostałym sztukom dać odpowiednie środki lecznicze i nie wypuszczać więcej na te pastwiska.

Co do leczenia motylicy — to w czasach ostatnich został wynaleziony dobry i zupełnie pewny środek, zwany distolem, który doskonale leczy chore na motylicę krowy i owce, a także i zapobiega tej chorobie. Są to kapsułki żelatynowe, mniejsze dla owiec a większe dla bydła; zadaje się je zwierzętom stosownie do podanego przepisu odpowiednio do ich żywej wagi.

Dla wzmocnienia organizmu koniecznem jest stale zadawać owcom i bydłu sól kuchenną do lizania. Wspomniany środek — distol — dostać można w większych składach aptecznych.

Z. Olszański, lekarz weterynarji.

Krajowe zioła lecznicze i ich zastosowanie w chorobach ludzkich i zwierzęcych

Macierzanka (*Thymus serpillum*) rośnie na miejscach wyniosłych, suchych, piaszczystych. **Łodyga czerwonawa, twarda, czołgająca, liście jajowate, kwiaty czerwonawe, zapach aromatyczny, miły. — Kwitnie od czerwca.**



Działa napotnie, moczopędnie, czyści krew. Używa się herbaty z całego ziela w chorobach wątroby, śledziony, nerek, w niestrawności, kurczach żołądkowych, wzdęciach i ksztuścu (kokluszu). Działa skutecznie w zatruciu alkoholem i usuwa bóle głowy, powstałe z tejże przyczyny Skutkuje także w krwiopluciach, w zatrzymaniu regularności i przeciw robakom.

Zewnętrznie używa się wywaru do okładów na wrzody, zapalne obrzęki i ropnie. Użyta do kąpieli, wzmacnia nerwy i skórę; wskazane zwłaszcza u dzieci słabowitych, skrofulicznych. Z liści można przyrządzać herbatę, zastępującą chińską.

KRONIKA.

Ś. p. Edmund Zechenter. Dnia 7 b. m. zmarł w Krakowie znany i ceniony dziennikarz i literat, Edmund Zechenter, który przez lat pięć był stałym członkiem Redakcji „Roli", a mianowicie w latach od 1910 do 1914. Urodzony w r. 1867 całe swe życie spędził w Krakowie, oddając się od roku 1900 do 1921 pracy dziennikarskiej, pracując kolejno w redakcjach „Nowej Reformy", „Czasu", „Roli", „Głosu Narodu" i Rzeczypospolitej". Równocześnie napisał szereg bardzo pięknych nowel, które wyszły w trzech tomach p. t. „Szkice i nastroje", „Z chłopskiej niwy" i „Walkowe kochanie". Później objął referat prasowy w województwie krakowskiem, a następnie referat prasowy w magistracie m. Krakowa. W ostatnich latach wydał ś. p. Zechenter „Legendy", nowelę „Smok" i tom nowel p. t. „Zawzięty lasowiak". Ś. p. Zmarły, jako człowiek o nadzwyczaj zacnem sercu, cieszył się ogólną sympatją wśród mieszkańców Krakowa. Osierocił dwie córki: Wandę i Marję oraz syna, znanego poetę Witolda. Pogrzeb odbył się w Krakowie dnia 9 bm. przy licznym współudziale mieszkańców Krakowa, w którym wzięli udział reprezentanci władz i urzędów krakowskich, oraz dziennikarze i literaci krakowscy. Niech Mu ziemia polska, którą ukochał całem sercem, lekka bedzie! Cześć Jego pamięci!

Katastrofa motocyklowa pod Limanową. Dwaj urzędnicy prywatni, Machowski i Szczepański ze Skawiny, wracając z Limanowej w stronę Krakowa, w odległości 3 kilometrów od Limanowej z nieustalonej narazie przyczyny wpadli z motocyklem w całym pędzie na słup telegraficzny, rozbijając kompletnie przód motocyklu, oraz ulegając ciężkim okaleczeniom. Ciężko rannych po prowizorycznem zaopatrzeniu odwieziono w groźnym stanie do szpitala w Nowym Sączu.

Słuszny wyrok na złą żonę. Ciekawy proces miał miejsce w Nowym Sączu. A mianowicie stanęła tam przed sądem niejaka Muthowa, oskarżona o znęcanie się nad mężem. Muthowa, kobieta młoda, miała starego 76 letniego męża. Staruszek nie podobał się jej, więc znęcała się nad nim, bijąc go i dokuczając mu. Muth długi czas znosił te tortury, nareszcie wolał rozstać się z tym światem, niż prowadzić dalej takie życie. Kupił sobie więc litr wódki, podpił dobrze i poszedł nad brzeg Popradu, gdzie rzucił się do wody i utonął. Gdy się dowiedziano o powodach samobójstwa nieszczęśliwego, oskarżono uszczęśliwioną żonę o pośrednie spowodowanie owego samobójstwa i o znęcanie się nad starcem. Sąd wydał wprawdzie surowy, ale sprawiedliwy wyrok, skazując Muthową na 6 miesięcy więzienia.

Napad rabunkowy na plebanję. We czwartek 8 b. m. banda złoczyńców napadła w nocy na probostwo w Przybyszówce koło Rzeszowa. Po zrabowaniu większej kwoty, którą tamtejszy ksiądz proboszcz Chmurowicz miał przygotowaną na wypłaty za budowę domku dla siebie, dano do niego 7 strzałów, od których staruszek, liczący 72 lata życia, runął na ziemię. Na odgłos strzałów wbiegł do jego pokoju ks. wikary Ziobro i pospieszył mu z natychmiastową pomocą. Następnie ciężko rannego przewieziono do szpitala w Rzeszowie, gdzie jednak po kilku godzinach zmarł. Bandyci zabrali z pieniądzmi kasetkę, a po opróżnieniu porzucili ją na cmentarzu.

O biskupstwo przemyskie. Według krążących pogłosek biskupem przemyskim ma zostać ks. Teofil Skalski były proboszcz kościoła św. Aleksandra w Kijowie. Jak wiadomo, ks. Skalski był przez pewien czas administratorem djecezji żytomierskiej i wtedy został aresztowany przez bolszewików i skazany na śmierć. Z więzienia wydobyła go interwencja władz polskich, dzięki której powrócił roku zeszłego do Polski.

Nieprawdopodobny wyrok sądu. We Lwowie stanął przed sądem rzeźnik Jan Rybakowski. oskarżony o to, iż swoją kochankę zmuszał biciem do nierządu, a za uzyskane stąd pieniądze żył, nie mając obecnie żadnej pracy. Sąd od winy i kary go uwolnił, podając w motywach, że ponieważ Rybakowski przez kilka lat utrzymywał swoją kochankę, więc teraz, znalazłszy się bez pracy, miał prawo żądać od niej, aby go z pracy (!!) swojej utrzymywała. Przyjąć bowiem należy, że kochankowie obydwoje nawzajem powinni się utrzymywać. W każdym razie jest to bardzo ciekawy i senzacyjny wyrok.

Tajemnicze wywiezienie kupcowej. Przed dom przy ulicy Janowskiej we Lwowie zajechał w nocy samochód. Trzej mężczyźni udali się do mieszkania kupcowej, niejakiej Krigowej, uprowadzili ją siłą z mieszkania i wywieźli w niewiadomym kierunku. Jak stwierdzili świadkowie tej sceny, jednym z owych mężczyzn był mąż Krigowej. Kobieta podczas wsadzania do auta opierała się i płakała. Zawiadomiona o wypadku policja przesłuchała Kriga, pytając go o powody wywiezienia własnej żony. Krig oświadczył, iż żona jego jest umysłowo chora, więc wywiózł ją do prywatnego zakładu dla nerwowo chorych. Ponieważ sąsiedzi wyrażają powątpiewanie o prawdziwości twierdzeń Kriga, więc władze wszczęły śledztwo, aby owe tajemnicze wywiezienie wyjaśnić.

Bandycki napad hajdamaków. We wsi Lubla w powiecie żółkiewskim dokonano zbrodniczego najścia na dom majętnego gospodarza Dymitra Majewskiego. Dwaj sprawcy, uzbrojeni w karabiny, zrabowali 860 złotych. W czasie ucieczki puścił się za nimi w pogoń sąsiad Majewskiego, 58-letni Ignacy Włoch. Jeden z bandytów strzelił do ścigającego trzykrotnie z karabinu, zabijając go na miejscu. Sprawcy zostali następnie przytrzymani przez policję. Okazali się nimi: Ilko Maślak i Iwan Łuczko. Staną oni prawdopodobnie przed sądem doraźnym.

Wstrząsająca tragedja mężatki. Serce nie sługa, nie zna, co to pany — powiada znana piosenka i tak jest w rzeczywistości. Nic też dziwnego, jeżeli serce ludzkie ulokuje tam swe uczucia, gdzie mu na to rozum nie zawsze pozwala. Tak było i z młodą panienką z Łodzi, Janiną K. W ubiegłym roku wyjechała na święta Bożego Narodzenia do Gałkówka pod Koluszkami do swych sióstr. Tam poznała przypadkowo znacznie starszego od siebie wieśniaka, 42 letniego Jana Wawrzonka, osiadłego na sporym kawałku gruntu. Przystojny gospodarz spodobał się 18 letniej panience, więc też chętnie przebywała w jego towarzystwie. Te częste spotykania wzbudziły w obojgu wzajemną miłość. Ale siostry krzywem okiem patrzyły na umizgi podeszłego w latach wieśniaka, a najbardziej raziło owe delikatne paniusie to, że Wawrzonek był chłopem. Poczęły dokuczać zakochanej siostrze. Janinka powróciła do Łodzi, aby skończyć naukę, a zdawszy maturę gimnazjalną, powróciła znów do Gałkówka. Nie zapomniała ona o swoim ukochanym i on o niej nie zapomniał. Gdy jednak siostry nadal ją prześladowały, zakochani postanowili połączyć się węzłem małżeńskim. Ślub odbył się potajemnie w lutym. Dopiero w maju zdecydowała się młoda mężatka zamieszkać z swym mężem. To oburzyło tak jej siostrzyczki, że zabroniły jej przychodzić do swego domu. Ambitna kobieta nie mogła przeboleć rozłąki z rodziną, miłość zaś nie pozwalała jej porzucić męża. Udała się więc do Łodzi, kupiła rewolwer, a wróciwszy do Gałkówka celnym strzałem w krzakach koło cmentarza odebrała sobie życie. Zwłoki znaleziono dopiero po kilku dniach. W po-

zostawionym przy sobie liście napisała: „Ze świata odchodzę nie przez Janka, lecz sama, gdyż życie mi zbrzydło!“ Nieszczęśliwa kobieta zeszła ze świata przez głupotę swoich siostrzyczek.

Niefortunna lekarka. Do jakiego stopnia dochodzi jeszcze ciemnota ludzka, nawet na przedmieściach wielkich miast, świadczy niecodzienny wypadek, jaki wydarzył się przy ulicy Marysińskiej w Łodzi. 9 miesięczne dziecko robotnika Antoniego Wnuka niedomagało i rodzice zwrócili się o poradę do znachorki, niejakiej Burakowskiej, która po zbadaniu dziecka orzekła, że jest ono „urzeczone“ i należy urok odczynić, albo też dziecko jest „przełamane“ i dlatego należy je dobrze zmierzyć. W tym celu położyła Burakowska dziecko na piersiach i usiłowała przeciągnąć prawą nóżkę do lewego ramienia. Operacja zakończyła się fatalnie, gdyż Burakowska połamała dziecku obie nóżki. Zbrodniczą znachorkę aresztowano.

Cenne odkrycie. W majętności Olszyny pod Sieradzem odkryto bardzo bogate złoża kwarcytu, materjału, potrzebnego w przemyśle hutniczym. Pozatem odkryto złoża węgla brunatnego oraz gliny białej, nadającej się do wyrobu porcelany. Odkryciem zainteresowali się przemysłowcy niemieccy, którzy licznie przybywają do Olszyny, badając teren i zgłaszając się z ofertami eksploatacyjnemi. A możeby tak kto z polskich magnatów zainteresował się tem odkryciem, aby nie dopuścić Niemców do wyciągania korzyści z polskiej ziemi?

Tragiczny pożar. We wsi Dziadaki w powiecie wieluńskim wybuchł pożar w zagrodzie Franciszka Janiaka, który spowodował jego syn. Wskutek posuchy i wiatru ogień przerzucił się na inne zabudowania, obejmując 65 zabudowań różnych gospodarzy. Kilkaset sztuk świń, drobiu i bydła padło pastwą pożaru. W czasie pożaru 14 osób zostało ciężko poparzonych i te odwieziono do szpitala. Oprócz nich spłonęła zupełnie 72-letnia staruszka, Katarzyna Wincentowa. Straty wynoszą ponad miljon złotych. 1C8 rodzin pozbawionych zostało dachu nad głową.

Niezwykłe dzieje tułacza. Policja przytrzymała w Kaliszu jakiegoś podejrzanego osobnika. Przyprowadzony na posterunek osobnik ów oświadczył, iż pochodzi ze Lwowa, nazywa się Jan Kwaśniewski, a ojciec jego był notarjuszem we Lwowie. Gdy miał lat 20, pojedynkował się z własnym ojcem o dziewczynę. Pojedynek ten wykorzystał ojciec, aby go osadzić w zakładzie dla obłąkanych w Kulparkowie. W roku 1904 ojciec jego zmarł i Kwaśniewski odziedziczył olbrzymi majątek. Mimo to przebywał w dalszym ciągu w zakładzie dla obłąkanych, a majątkiem jego zarządzał kurator. Wreszcie wypuszczono go na wolność. Właśnie w tym czasie przejeżdżał przez Lwów cesarz austrjacki, Franciszek Józef I. Kwaśniewski podczas defilady znalazł się w pobliżu cesarza. Podbiegł nagle do niego i opluł go. Aresztowano go i osadzono w więzieniu. W roku 1918 udało mu się uciec z więzienia. Sprzedał wówczas swój majątek za pół miljona koron austrjackich, lecz wkrótce wskutek dewaluacji waluty austrjackiej znalazł się w nędzy. Puścił się więc na niepewne losy w świat. Przeszedł kolejno Niemcy, Belgję, Francję, Rumunję, Turcję i wreszcie znalazł się znów na ziemi polskiej w Kaliszu. Opowiadaniu Kwaśniewskiego nie chciano początkowo wierzyć, ale gdy słowa swoje poparł dokumentami, wypuszczono go na wolność.

Aresztowanie niebezpiecznego opryszka. Od dłuższego czasu grasował w Warszawie 20-letni Chaim Ziemnowicz o przezwisku Bękart, który kradł, napadał, bił i rabował. Zawsze uchodziło mu to bezkarnie, gdyż poszkodowani, bojąc się jego zemsty, nie zawiadamiali o tem policji. Przed kilku dniami Bękart napadł na ulicznego handlarza Owczarza i wbił mu nóż w brzuch. I to uszło mu narazie bezkarnie. Bękart, dowiedziawszy się, że kilku lokatorów jednej z kamienic przy ulicy Lubelskiej wyjechało na świeże powietrze, udał się tam na robotę. Zobaczył go jednak dozorca domu i nie chciał go puścić na schody. Z pomocą ojcu nadbiegł syn dozorcy, który również zastąpił opryszkowi drogę. Wówczas Bękart zadał mu dwie rany w głowę i chciał ujść. Ale tymczasem na alarm świadków zajścia przybyła policja i po krótkiej walce zdołała ubezwładnić opryszka i odstawić go do aresztu.

Zmiana imienia. Znany aktor filmowy i rewjowy w Warszawie, p. Adolf Dymsza, zmienił swoje imię na Teofil, twierdząc, że nie chce nosić takiego imienia, jakie nosi kanclerz niemiecki, Adolf Hitler. Oczywiście należy to raczej uważać za charakterystyczny żart, gdyż raz nadanego imienia na chrzcie św. prawnie zmieniać nie można.

Ostrożnie z narzeczonymi. Władysława Mianowska, służąca u pp. Józefowstwa Kochanowskich w Warszawie wyszukała sobie narzeczonego nazwiskiem Stanisław Krzyżanowicz. Urodziwy Staś zalecał się do przystojnej Władzi, a w wolnych chwilach obserwował mieszkanie państwa swej bogdanki. Obserwacje jego nie były bez następstw, gdyż, kiedy upatrzył stosowną chwilę, zabrał dla siebie cenne kosztowności pp. Kochanowskich, wartości kilkunastu tysięcy złotych i ulotnił się z nimi. Zaalarmowana policja poczęła szukać zaginionego amanta i zabranych przez niego kosztowności. Znaleziono go wreszcie i przeszukano mieszkanie, odnajdując znaczną część skradzionych rzeczy. Krzyżanowicza aresztowano, jak również i jego „narzeczoną“, jako podejrzaną o współudział w kradzieży.

Walki szumowin w Warszawie. W Warszawie znajduje się schronisko dla bezdomnych. Przebywają tam ludzie porządni, ale dostaje się wielu także z pomiędzy szumowin miejskich. Tych jednak władze usuwają z ogólnego schroniska i umieszczają w specjalnem schronisku przy ulicy Okopowej. I tam właśnie przychodzi często do krwawych awantur. Ostatnio trwała tam wzajemna walka przez dwa dni pomiędzy szumowinami, przyczem zdemolowano całe urządzenie, a cztery osoby pokłuto nożami. Dopiero ktoś zawiadomił policję, której jednak tylko z trudem udało się zaprowadzić porządek w schronisku. Kilku opornych awanturników aresztowano i odstawiono do więzienia.

Krwawy napad bezrobotnych na wieś. W barakach dla bezrobotnych na Annopolu koło Warszawy mieszka większa ilość bezrobotnych. Są to bezrobotni co do uczciwej pracy, ale pracują usilnie i wydatnie na polu kradzieży. Ofiarą ich jest wieś Białołęka, do której wyprawiają się ciągle i kradną, co się nadarzy. Ostatnio jeden z bezrobotnych nazwiskiem Mieczysław Starczewski wyprawił się do Białołęk na kradzież kołków. Ale w czynności tej przeszkodził mu jeden z mieszkańców Białołęk, Zygfryd Klan. Wówczas Skarczewski postanowił zemścić się na Klanie. W tym celu zorganizował całą armję bezrobotnych, złożoną z 1.000 osób i wyruszył na jej czele do Białołęk. Na wieść o grożącem niebezpieczeństwie zmobilizowali się również mieszkańcy wsi Białołęk i wywiązała się krwawa walka, w czasie której padły strzały rewolwerowe. Jedna z kul trafiła organizatora wyprawy, Mieczysława Starczewskiego. Wreszcie przybyła policja, która z wielkim trudem zlikwidowała zajście. Przeciwko winnym wszczęto dochodzenia.

Strajk obiadowy. Na Annopolu koło Warszawy była urządzona przez Komitet obywatelski tania kuchnia, w której bądź za niską cenę, bądź nawet bezpłatnie mo-

gli byli dostać bezrobotni pożywne obiady. Ale niektórym wywrotowcom było to nie na rękę. Jednego dnia, kiedy już obiad był gotowy, zorganizowali strajk i w ilości około 300 osób obsadzili wejścia, żądając zamiast gotowego obiadu wydania im prowiantów. Ponieważ Zarząd kuchni nie miał na to funduszów, więc odmówił. Wobec dalszych pogróżek rozagitowanego tłumu Zarząd oświadczył, iż kuchnię zamyka i nie będzie więcej wydawał obiadów. Tak wskutek lekkomyślności niektórych jednostek wielu ludzi porządnych a biednych utraciło możność otrzymywania tanich posiłków.

Proces o biust. W Warszawie odbył się proces przeciw dwom lekarzom, którzy dokonali nieszczęśliwej operacji na biuście żony tamtejszego inżyniera ś.p. Ufnowskiej. Po przeprowadzonej rozprawie sąd wydał wyrok uwalniający obydwóch lekarzy, motywując go tem, że lekarze, przeprowadzając operację nie mogli przewidzieć śmierci pacjentki.

Zamordowanie nauczycielki. We wsi Majdan Wolicki w powiecie lubelskim znaleziono w krzakach zwłoki kobiety, w których rozpoznano nauczycielkę ze wsi Antoniówek, Stanisławę Stefaniec. Zwłoki były strasznie zmasakrowane. Jak ustaliły dochodzenia, panna Stefańcówna wracała do domu z podjętą pensją nauczycielską. Morderca zaczaił się na nieszczęśliwą niewiastę, zabił ją i obrabował.

Olbrzymi grad. Na Wileńszczyźnie przeszła w ubiegłym tygodniu nad gminą jaźwińską wielka burza. Grad wielkości gołębiego jaja powybijał w oknach szyby i zabił kilkanaście sztuk drobiu. W polach grad wyrządził wielkie szkody. Od uderzenia gradu została silnie pokaleczona 14 letnia dziewczyna, Wł. Gierwatówna.

Pluskwy przyczyną pożaru. We wsi Michniszki w pobliżu Trok na Wileńszczyźnie 70 letnia Marja Simowicz, sprzątając na Zielone Świątki mieszkanie, tępiła pluskwy przy pomocy płomienia świecy. W pewnej chwili ściana domu zajęła się, a na skutek przeciągu w izbie cały dom zaczął płonąć. Nieszczęśliwa staruszka zginęła w płomieniach, wiatr rozniósł iskry wokoło, powodując spalenie dziewięciu gospodarstw. Szkody wynoszą ponad 20 000 złotych.

Otto Habsburg królem Węgier? Jak donoszą gazety angielskie, w bieżącym tygodniu ma przylecieć do Budapesztu samolotem syn ostatniego cesarza austrjackiego, 21-letni Otto, i ogłosić się tam królem węgierskim. Na krok ten zgadzają się nietylko Węgry, ale podobno i Włochy. Czy wiadomość ta jest prawdziwa, trudno osądzić.

Atak rządu Hitlera przeciw katolikom. Gdy Hitler piął się ku władzy, zdawało się, że przeciwstawią się mu niemieckie państwa katolickie z Bawarją na czele. Tymczasem stało się inaczej. Tak katolickie „Centrum" parlamentarne, jak i całe kraje katolickie w Niemczech poszły pod zupełną komendę Hitlera. Początkowo przypuszczano, że między protenstanckimi hitlerowcami a katolikami nastąpiło jakieś porozumienie, na podstawie którego Hitler będzie traktował katolików narówni z protestantami tak, jak to powinno być w państwie praworządnem.. Ale właśnie w Niemczech do tej praworządności jest bardzo daleko. Jak obecnie donoszą z Bawarji, rząd hitlerowski zabronił tam odbywania wszelkich zgromadzeń i manifestacyj katolickich. Zarządzenie to wywołało wielkie rozgoryczenie wśród ludności bawarskiej. Może ludność ta zmądrzeje, choć po szkodzie.

Mord polityczny w Berlinie. Na posła Afganistanu w Berlinie Muhammeda Assis Chana dokonano zamachu rewolwerowego. Do gmachu poselstwa przybył w południe student afgański, Kemal Siyl i prosił o posłuchanie u posła. Gdy wszedł do jego gabinetu, urzędnicy usłyszeli ostrą sprzeczkę, a potem 5 strzałów. Z gabinetu posła wybiegł z rowolwerem w ręku ów student i rzucił się do ucieczki. Na ulicy przytrzymała go jednak policja. Ciężko rannego posła poddano natychmiast operacji, podczas której ranny zmarł. Zamachowiec oświadczył, iż powodem jego zamachu były pobudki patrjotyczne, należy on bowiem do partji, która pracuje nad obaleniem obecnego ustroju w Afganistanie. Zamordowany poseł w wieku 55 lat życia był starszym bratem obecnego króla Afganistanu, Nadir Khana.

Pieszo z Belgji do Rzymu. W przeciągu 51 dni przybył pieszo z Belgji do Rzymu pewien pielgrzym, który tym sposobem przebył drogę 1679 kilometrów. Pielgrzym ów znalazł tam jednak drugiego towarzysza, który również przybył do Rzymu pieszo z południowych Niemiec. Ten o tyle przewyższył Belga, że całą drogę odbył, dzwigając na ramionach ciężki krzyż drewniany celem osobliwszego uczczenia rocznicy Męki Pańskiej.

Katastrofa kolejowa we Francji. Pod Nantes we Francji wydarzyła się straszliwa katastrofa kolejowa. Uległ jej pociąg pospieszny, udający się z Paryża do Bretonji i nad kanał La Manche. Wiózł on przeszło 1000 osób, które dla przyjemności chciały udać się nad morze. Pociąg pędził z szybkością 95 kilometrów na godzinę. Katastrofa powstała z winy maszynisty, który nie zauważył sygnału, nakazującego zwolnienie biegu pociągu. Cały pociąg stoczył się z nasypu i uległ rozbiciu. Na miejsce wyruszyła niezwłocznie kolumna ratunkowa, która przystąpiła do pracy. Z pod szczątków rozbitych wagonów wydobyto 15 zabitych, a przeszło 100 osób ciężej i lżej rannych.

Bohaterski palacz. Na linji kolejowej Marsylja-Lyon, palacz pociągu pospiesznego został nagle objęty ogniem od iskry z lokomotywy. Przerażony maszynista wyskoczył z pociągu, zabijając się na miejscu. Tymczasem ogień przerzucił się na węgiel, znajdujący się obok lokomotywy. Węgiel począł również płonąć. Nieszczęśliwy palacz nie mógł nic sam poradzić, gdyż ogień coraz bardziej smażył jego ciało. Ostatkiem sił zdołał jednak pociągnąć za linkę alarmową, aby zwrócić uwagę kierownika pociągu na pożar. Kierownik zatrzymał pociąg hamulcami automatycznemi. Pożar ugaszono, ale na lokomotywie znaleziono już tylko zwęglone zwłoki bohaterskiego palacza.

Uratowało go polskie nazwisko. O zabawnem zdarzeniu donoszą z Los Angelos w Ameryce. Oto za niestosowanie się do przepisów ruchu automobilowego został Polak, p. Szmyrkowski, stawiony przed oblicze sędziego Wiliama Kaya. Po przesłuchaniu obwinionego i świadków sędzia skazał p. Szmyrkowskiego na 2 dolary kary. W czasie ogłaszania wyroku sędzia ani rusz nie mógł wymówić nazwiska skazanego. Po kilku daremnych usiłowaniach odezwał się wreszcie do skazanego: Człowieku, idź do domu! Wpisanie twego nazwiska na pokwitowaniu kosztowałoby sąd więcej niż 2 dolary!"

Wyspa bez ludzi ubogich. Na wyspie Tonga, położonej 1.500 kilometrów na południowy zachód od Nowej Zelandji, ubóstwo uważane jest za zbrodnię kryminalną; nikomu nie wolno być biednym. Każdy mężczyzna, kiedy mu minie lat 16, otrzymuje tam od państwa ośm i pół akrów gruntu, z czego ośm akrów jest lasu a pół akra ziemi. Tam obdarowany musi wybudować dom i założyć ogród owocowy, lub warzywny i musi tak gospodarzyć, aby mu niczego nie brakło. Gdy umrze, grunt przechodzi na własność państwa. Otrzymuje go znów ktoś inny do dalszej uprawy.

Zaległe numera „Roli" od Nowego Roku posiadamy w zapasie.

RZECZY CIEKAWE.

Odzyskana córka miljonera.

Uprowadzanie dzieci w Ameryce przez bandytów jest na porządku dziennym. Bandyci upatrują sobie



dziecko jakichś bogatych rodziców, porywają je, ukrywają i za oddanie żądają okupu i to okupu bardzo znacznego. Pamiętne jest niedawne uprowadzenie synka słynnego lotnika amerykańskiego Lindberga, za którego bandyci zażądali okupu. Policja wytężyła wszystkie siły, aby chłopczyka odszukać, ojciec złożył żądany okup, ale dziecka mu nie zwrócono. Jak się później okazało, malec został zamordowany umyślnie, lub też zginął przypadkowo w czasie uprowadzania go.

Szczęśliwiej zakończyło się uprowadzenie małej Margarety, córki miljonera Neil Mac Matha. Bandyci zażądali okupu 80.000 dolarów. Ojciec w oznaczony przez nich sposób pieniądze owe złożył, a córka jego zupełnie zdrowa powróciła natychmiast do rodziców. Widzimy ją właśnie po powrocie w otoczeniu ojca i matki, rozradowanych jej powrotem.

Skuteczna woda na porost włosów.

Wiosna nastręcza sposobność do przyrządzenia sobie prostym sposobem skutecznej wody na porost włosów i to zapomocą zwyczajnej pokrzywy. Oddawna już wiadomo, że pokrzywa zawiera pewien pierwiastek, powodujący lepszy porost włosów słabych, o ile nie są chore same cebulki włosowe. Ważną jednak jest sprawą, aby zbierano tylko młode pędy pokrzywy, gdyż te jedynie posiadają w wysokiej mierze ów pierwiastek skuteczny. Wyciąg ze świeżych pędów pokrzywy robi się w sposób następujący: Zerwać całkiem młode pędy, drobno je poskubać (w skórkowych rękawiczkach na rękach) i powkładać do flaszki $^3/_4$ litrowej) do jednej trzeciej wysokości. Nalać na to pół litra dobrej okowity (45-procentowej), flaszkę dobrze zakorkować i postawić na 3 tygodnie w słonecznem miejscu, wstrząsając codziennie starannie. Po upływie tego czasu zlać płyn, przez bibułę białą i znowu szczelnie zakorkować. Następnie pokrajać drobno dobrze opłukaną garść korzeni pokrzywy, zagotować je przez godzinę w pół szklance wody, dolać ćwierć litra lekkiego wina stołowego (na ciemne włosy czerwonego, na jasne białego) i wygotować powoli do połowy. Przecedzić potem przez bibułę i nalać do flaszki. Temi dwoma płynami po kolei nacierać miękką flanelą skórę na głowie 3 razy tygodniowo, przed udaniem się na spoczynek. Używać do tego po 2 łyżeczki z każdego płynu lub po jednej z odwaru korzenia a po dwie z nalewki na pędy pokrzywy, zależnie od tego, czy włosy są tłustawe i miękkie. Na suche włosy używać więcej odwaru z korzeni, przy tłustych więcej nalewki na pędy. Nie zaleca się zlewać obydwóch płynów, ponieważ odwar z korzeni z czasem staje się mętny i osadza na dnie flaszki. Trzeba go wówczas raz zagotować, stawiając flaszkę — jak przy zaprawach — do garnka z zimną wodą. Odwaru z korzeni można przyrządzać do lipca, później nie działa już tak skutecznie.

Najmniejsza maszyna drukarska.

Rozmiary maszyn drukarskich są rozmaite, zależy to od ich przeznaczenia. W każdym razie nawet najmniejsze mierzą dwa do trzech metrów długości, a 1 i pół do 2 metrów szerokości. Tymczasem na wystawę w Chicago skonstruowano rotacyjną maszynę drukarską, która swemi rozmiarami nie przewyższa maszyny do pisania. Podobiznę jej widzimy na powyższym obrazku.



Chociaż maszynka ta jest tak mała, funkcjonuje ona jednak doskonale i można nie niej drukować w bardzo szybkiem tempie gazety i książki, oczywiście również o maleńkim formacie. Maszynka tą może być uważana raczej za zabawkę, aniżeli za przedmiot użyteczny.

Drogocenne pomyłki drukarzy.

Wielka Brytanja wydała w roku 1840 znaczki pocztowe z siłą opłacania przesyłek pocztowych. Od tej pory znaczek pocztowy stał się przedmiotem zbiera-

nia i nowej gałęzi wiedzy, filatelistyki. Podczas gdy zbieracze innych przedmiotów zawsze starają się gromadzić sztuki bez skazy i wyborowe, zbieracze znaczków pocztowych najwyżej oceniają te sztuki, na których w nadruku czy papierze zaszła omyłka.

Do najbardziej pożądanych rzadkości zalicza się dwa znaczki należącej do Anglji wyspy Mauryccego na (oceanie Indyjskim) z 21 września 1894 roku po 1d i 2d. Na znaczkach tych rysownik wyrył mylnie zamiast „Post Paid" — opłacone porto — „Post Office" — co oznacza biuro pocztowe. Z pierwotnego nakładu 500 sztuk przetrwało tylko kilkanaście egzemplarzy, za które płaci się dzisiaj po 300.000 zł.

Do najrzadszych znaczków należy błędnie wydrukowany znaczek zachodnio-australijski 4d z roku 1854, w którym tarczę znaczka, łabędzia wydrukowano do góry nogami. Wartość handlowa tego znaczka wynosi dzisiaj 50.000 złotych.

Na emisji znaczków, wydanej w roku 1869 przez Stany Zjednoczone zaszedł na trzech odmianach także błąd przez odwrotne nadrukowanie drugiego koloru. Za znaczki te płaci się dzisiaj blisko 100.000 złotych.

Inne błędne wydania znaczków powstawały przez zmianę gatunku papieru. Liczne błędy powstawały także w czasie zmiany taryf pocztowych przy nadrukach prowizorycznych na istniejących już znaczkach. Odnosi się to szczególnie także do czasów powojennych, kiedy nowopowstające państwa posługiwały się znaczkami swoich poprzedników. Bardzo pożądanemi okazami są także znaczki bez perforacji (bez ząbków) i nadrukowane na papierze o niewłaściwym znaku wodnym.

Obok tych nieświadomych błędów zachodzą niewątpliwie także błędy świadome ze strony czynników technicznych, które następnie na spekulacji robią dobry interes.

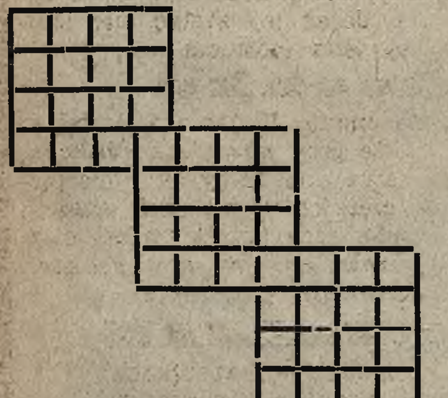
ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Jan Stępień** w T.: Rój pszczół włoskich może Pan sprowadzić sobie od p. J. Wieczorka z Bydgoszczy 4. Cena za rój 2 kg. od 1 lipca wraz z przesyłką wynosi 20 złotych. Pszczoły rasy amerykańskiej hoduje inż. Pawłowski w Rudniku nad Sanem, ale czy sprzedaje roje lub matki, nic nam nie wiadomo. Ja mam wprawdzie różne rasy pszczół, choć w niewielkiej ilości, ale na prowincję nie wysyłam, gdyż nie mam na to czasu. **Kazimierz Nogaj** w M.: Nie tylko u Pana, jak to Pan nazywa „bryndza" w pasiece. — W zachodniej Małopolsce wszyscy żalą się na zły stan pasiek z powodu chłodów i niepogody. Pszczoły padają, roje, tak zwane „głodniaki" uciekają. Ale może jeszcze czasy się poprawią i gdy zakwitną akacje, a później lipy, wszystko będzie dobrze; byle pogoda wówczas dopisała. U siebie ze zdziwieniem obserwuję piękny rozwój pszczół: obsiadują po 14 ramek uli słowiańskich, mając stosunkowo dużo miodu i czerwiu. Jakoś nie znać na nich ani zimna, ani deszczów. Szczególniej kaukaskie spisują się wprost znakomicie. **Karolina Michalska** w M.: Tulipany, narcyzy, hiacenty, krokusy itp. sadzi się do gruntu w jesieni, a nie na wiosnę. Jeżeli więc posadziła Pani cebulki na wiosnę, to trudno od nich wymagać, aby tak na zawołanie wyrosły i zakwitły. Truskawki rozsadza się w sierpniu, a będą na przyszły rok pięknie owocowały. **Antoni Olcha** w N.: List otrzymaliśmy w ostatniej chwili, odpowiemy obszerniej w następnym numerze „Roli". — **Działa Kazimierz** w Cz.: Utwór słaby, również niektóre zagadki nie do druku. — 1.50 zł. do prenumeraty dopisaliśmy. — **Jan Ogarek** z P.: Za życzenia i przysługę dziękujemy. Numer z czekiem posłaliśmy. Wzajemnie pozdrawiamy Pana. — **Jan Sikora** w B.: Do końca roku na prenumeratę brak tylko 3 zł. 40 gr. — **B. B.** ze Suchej: 24 czerwca od godz. 9 do 1 na ul. św. Tomasza w podwórzu na prawo.

Zagadki do nagrody.

1. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Florjan Ciebiera z Rz.).



Znaczenie wyrazów; 1. Wielki zwierz. 2. Zaimek. 3. Wykrzyknik. 4. Imię męskie. 5. Opakowanie. 6. Wzniesienie wspak. 7. Rzecz pożądana. 8 Deszcz 9 Kobieta. 10. Imię.

2. Szarady.

(Ułożył Władysław Łukasik).

I.

Piąte drugie trzecie bracie,
Chodzą zwykle w czarnej szacie,
Gdy nad pierwszą dasz znak mały,
Złączysz z czwartą, już masz cały
Wyraz co wypływa z smutku,
Powiąż całość a masz w skutku,
Zwykle po skończeniu pracy,
Powiedz bracie, co to znaczy?

II.

Pierwsze drugie skarb człowieka,
Trzecie czwarte od wiek wieka
Robi każdy, gdy się schodzi,
Całość się zaś nie godzi
Używać, bo rozum zwodzi.

3. Zagadki.

(Ułożył Florjan Ciebiera z Rz).

I.

Prosto wszędzie, gładko wszędzie,
Co to będzie? co to będzie?
Polskie miasto, cna niewiasto!

II.

Gdy stoją przy sobie poeta i ryba,
Będzie imię męskie. No odgadniesz chyba

III.

Jesteś ty, a niema księżyca,
Miasto w Małop lsce chociaż nie stolica.

4. Bilety wizytowe.

Ułożył Józef Białek z Rz.).

I.

Dr Anatol A. Tyreterko

II.

Natan J. Ciczelski

Z liter powyższych imion i nazwisk ułożyć zawód tych osób.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki:

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 23 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 23 „Roli": 1. Arytmograf: „Co to jest życie? Jednym jest ścieżką ciernistą, Drugim posadzką gładką, A wszystkim ciemną zagadką. A klucz zagadki gdzie leży, Rzecz to istotnie nie płocha. Ten znajdzie go tylko, Kto wierzy, pracuje, ufa i kocha!" 2. Szarada: Żałoba. 3. Zagadka rachunkowa: Ojciec przyniósł synowi 27 jabłek. Syn sprzedał z nich 18, gosposi dał schować 6, z kolegami podzielił się trzema jabłkami tak, że każdy otrzymał 1 jabłko. 4. Zagadki: I. K-osa, II. Kos-a. 5. Kwadrat magiczny: Fala-Amen-Leon-Anna.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Kazimierz Strusiewicz z K., Danuta Patyńska z W., Alojzy Foltyn z S., Ks. Maciej Suchodolski z T., Jan Gara z W., Koło młodzieży w Wacławicach, Feliks Popielarczyk z S., J. Szewczyk z D. i A. Ciebiera z Rz., Br. Bucałówna z S.

Nagrody otrzymają pp.: Bronisława Bucałówna z S. i Koło młodzieży w Wacławicach.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Męcząca niepewność.

Gospodarz (rano przy wstawaniu): Łodloboga, teroz nie wim, czy to siwek w nocy doprowdy zdech — czy mi się też jeno tak śniło.



Powód siwizny.

— Co się stało? Zupełnie osiwiałeś. Czy ze zmartwienia?

— Przeciwnie, z powodu przyjemności domowych!



Nie zawsze.

Czy ty Stasiu, zawsze bywasz taki milczący?

— Nie, wujaszku, teraz mama obiecała mi złotówkę, jeżeli będę milczał i nie powiem nic o czerwonym nosie wujaszka.

Podziękowanie.

Wielmożny Pan Michał Popow
Wytwórnia przyborów pszczelniczych, oraz pracownia blacharska, Kraków, ul. św. Tomasza 1. 2.

Przesyłam WPanu najserdeczniejsze podziękowanie za dostarczone mi przyrządy pszczelarskie, które ze względu na solidne i precyzyjne wykonanie, zasługuje na specjalne podkreślenie i należną WPanu pochwałę.

Węzę sztuczną, z najczystszego wosku, posiada komórki najgłębsze i jest jedną z najlepszych, jaką kiedykolwiek sprowadzałem.

Pańska łapka amerykańska na roje jest idealnym i nieodzownym przyrządem w pasiece.

Godnie zasługuje Pan na polecenie, gdyż Pańskie przybory pszczelarskie są faktycznie najstaranniej wykonane.

Łączę wyrazy czci i poważania
F. Piątkowski, wł. realności
Przegorzały pow. Kraków.

Wszystkie zaległe numera „Roli" od Nowego Roku posiadamy w zapasie.

Giełda płodów rolniczych
z dnia 9 czerwca b. r.

Pszenica	28·50—29·00	Słoma długa	4·50—5·00
Żyto .	18·00—18·25	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	12·50—13·00	Koniczyna nasienn. czer.	110·00—115·00
Jęczmień .	15·00—15·50		
Fasola biała	19·00—20·00	Mąka żytnia	30·25—30·50
Groch zwyk.	27·00—29·00	Mąka pszen.	58·00—60·00
Siano słodk.	6·50—7·00	Otręby pszen.	9·00—9·50
Łubin żółty	11·50—12·00	Otręby żytnie	9·25—9·50
Konicz. pastew.	7·50—8·50	Mąka czerw.	11·75—12·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy
w dniu 9 czerwca b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0·60 do 0·70 zł.
Woły . .	od 0·60 do 0·68 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·16 zł.
Krowy .	od 0·55 do 0·63 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·00 do 1·20 zł.	Nierogaciznę lżej wagi	od 1·40 do 1·56

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.